

POLSKI WYŚCIEK ZBROJNY
TOM III.

WSPOMNIENIA WOJENNE

PUŁKU ZIEMI TARNOWSKIEJ



1.5

WARSZAWA — 1919
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

992
1112 85

2104 85

WSPOMNIENIA WOJENNE

PUŁKU ZIEMI TARNOWSKIEJ

(OBECNIE 16 P. P.)

z lat 1914 i 1915

(Opracowane) przez oficerów pułku 16 piechoty



WARSZAWA — 1919
KSIĘGARNIA WOJSKOWA

A-11784

Biblioteka
U.M.C.S.
w Lublinie



1000174995

K. 279/56/90

Słowo wstępne.

Wysoce zaszczytne stanowisko w społeczeństwie zajmuje żołnierz,—w odrodzonej Polsce tem zaszczytniejsze, że nie służy wybranej przez los jednostce uprzywilejowanej, nie służy monarsze, cesarzowi, czy carowi, jak było w Austrii i Niemczech lub Rosji, ale służy własnej Ojczyźnie, jako wolny obywatel.

Co to jest Ojczyzna? — Ojczyzna, żołnierze, to własna ziemia nasza, ta sama, którą od wieków, od najdalszej zamierzchłej przeszłości—zamieszkiwali nasi przodkowie; ta sama ziemia, którą plugi ich orały, która ich żywiła i której oni już wówczas bronili przed napadami dzikich hord, chciwych cudzego dobra i mienia. — Ojczyzna, to ta sama ziemia, którą przy końcu XVIII wieku rozdarli i na trzy części rozćwiartowali nasi wrogowie i na której rządili przez lat 146, gnębiąc nasz naród—w błędnem mniemaniu, że go wytępić zdołają! Ojczyzna nasza, to ta ziemia, która nas wychowała, na której żyjemy i na której żyć będą nasi następcy w najdalsze pokolenia! Oj-

czynna, żołnierze, to przeszłość i przyszłość, to cześć dla tych wielkich, świetlanych postaci, które bohaterскими czynami i poświęceniem imiona swoje przeka-zały historii; to praca dla tych, którzy po nas przyjdą i którym my sami pamięć dni naszych, naszych czynów i naszych poświęceń znowu przekazemy!

Ongi, przed wiekami, gdy plemię polskie osiadło na tej ziemi, powtarzały się częste napady ościen-nych dzikich hord—i wówczas naród podzielił się na dwa stany; jeden uprawiał rolę, drugi z bronią strzegł granic swej ziemi. Ten stan drugi, który miał bron-ić granic Ojczyzny, stał się stanem rycerskim, czy-li szlacheckim; szlacheckim dlatego, że poświęcał szlachetnie swą krew i życie dla bezpieczeństwa tej braci w kraju pozostałej, która miała obowiązek wy-pracowania chleba dla wszystkich.

Tak ongi było, w odległej przeszłości; dziś sto-sunki się zmieniły o tyle, że miejsce dawnego stanu rycerskiego, wy, żołnierze, zajmujecie; wy dlatego, że, jak niegdyś przed wiekami stan rycerski stał na straży spokoju i bezpieczeństwa narodu, tak teraz ten zaszczytny obowiązek Wam przypadł w udziale.

W tej Polsce odrodzonej, którą z kajdan upo-karzającej niewoli wyzwoliła nieomylna Boża spra-wiedliwość, każdy jej obywatel powinien być szczę-śliwy.

Szczęście człowieka polega przedewszystkiem na tem wewnętrznem zadowoleniu, jakie daje i dać mo-że jedynie przeświadczenie, że godnie i należycie speł-nił swoje obowiązki.

Jakie piękne i jak bardzo zaszczytne obowiązki przekazała Wam, żołnierze, do spełnienia Ojczyzna nasza,—wszakże nie kto inny, tylko Wy, jak owi minionych wieków rycerze, macie sobie powierzona całość Rzeczypospolitej Polskiej, spokój, szczęście i bezpieczeństwo Waszej wielkiej rodziny narodowej.

Tego rodzaju wielkie i święte obowiązki spełnia się godnie i należycie tylko wtedy, gdy poczucie ich i zrozumienie wypływa z miłości Ojczyzny, tak serdecznej i tak gorącej, a tak skorej do poświęceń, jak ta, która ożywiła duszę nieśmiertelnej pamięci Bartosza Głowackiego, gdy z kosą w garści na rosyjskie rzucił się armaty i zdecydował o zwycięstwie racławickim.

Historja naszego narodu przechowuje w pamięci bardzo wielu bohaterów: tych szlachetnych synów Ojczyzny, którym Jej gorące a serdeczne umiłowanie było nakazem do największych poświęceń dla Jej dobra i szczęścia, dla Jej powagi i sławy!

I nasze czasy, i ta wielka wojna światowa, która z potopu krwi ludzkiej i ludzkich bólów i łez wydobyła nieprzedawnione prawo do życia naszego narodu — dały dowód w obliczu świata i historii, że w narodzie polskim nie zamarł duch rycerski, dostarczyły wielu przykładów prawdziwego bohaterstwa ze strony Polaków, a na tych kartach chlubnie zapisał się pułk ziemi tarnowskiej, który wydał wielu oficerów i żołnierzy, zasługujących z całą słusnością na miano rycerzy-bohaterów.

Walczyły wprawdzie wówczas nasze zastępy pod

hasłem obcem, dla ambicji Habsburgów i dla zaborczych ich planów i dla takichże celów niemieckich; ale poza tymi chybiłymi celami — przyświecał nam zawsze ideał odzyskania wolności narodowej, który wreszcie zdołaliśmy wysłużyć sobie trudami naszymi i krwią naszą serdeczną!

Aby pamięć czynów naszego pułku nie zaginęła—gdy czas mgłą niepamięci przysłoni jego dzieje,—dajemy Wam, żołnierze, te wspomnienia, w których znajdziecie ważniejsze i naśladowania godne czyny Waszych towarzyszy broni.

CZĘŚĆ I.

ROK 1914.

POD SZCZUCINEM.

Rok 1914 był wielkim rokiem w dziejach ludzkości, miał on bowiem rozpuścić burzę, jakiej ludzkość dotychczas nie przeżywała, a zarazem nietylko przekształcić kartę Europy, ale także zmienić przestarzałe poglądy i zbliżyć ludzkość do tych wielkich ideałów Bożych, które wiodą do zbratania się narodów i w przyszłości do zapobieżenia rozlewowi krwi ludzkiej!

Dzień 1 sierpnia tego pamiętnego roku był dniem rozpoczęcia kroków wojennych ze strony Austrii przeciw Rosji, której granicę na terenie Polski, w okolicy Tarnowa, stanowiło koryto Wisły.

Pułk ziemi tarnowskiej, wówczas 57 pułk piechoty austriackiej, był jednym z pierwszych, który podjął akcję wojenną. Mianowicie dnia 7 sierpnia 1914 9 ta kompanja naszego pułku, która już przedtem była w Dąbrowie, — otrzymała rozkaz przekroczenia Wisły pod Szczucinem i zajęcia przeciwległego brzegu po stronie rosyjskiej, w tym

celu, ażeby zabezpieczyć przeprawę szwadronowi 2-go pułku ułanów, także dzieci tarnowskich.

Przeprawa przez Wisłę, przy ówczesnym braku mostu, miała odbyć się na promach i oczywiście była bardzo trudna dla naszej 9-tej kompanji ze względu na to, że przeciwległy brzeg obsadzony już był przez rosyjską piechotę i oddział kozaków. Płynąc promem, żołnierze nie mieli żadnej osłony, wystawieni byli na strzały karabinowe na terenie zupełnie otwartym, jakim jest rzeka.

Pierwszy wszedł na prom wówczas porucznik, a obecnie kapitan, Adam Lipiński ze swoim plutonem. Gdy prom odbił od brzegu, posypały się strzały rosyjskie; przeżarci przewoźnicy opuścić chcieli swoje stanowiska i uciec, jednakowoż energiczne wystąpienie porucznika Lipińskiego, który z rewolwerem w rękę powstrzymał ich od tego zamiaru, zmusiło ich do dalszej pracy.

Pod gradem kul dotarł pluton porucznika Lipińskiego wraz ze swoim dowódcą do przeciwległego brzegu Wisły, gdzie szybko i sprawnie rozwinął się w tyraliery; następnie zaatakował oddziały nieprzyjacielskie, zmusił je do ucieczki i tym sposobem zapewnił bezpieczną przeprawę zarówno 9 kompanji naszego pułku, jakoteż szwadronowi 2 pułku ułanów.

Ówczesny dowódca naszego pułku p. Juliusz Bijak, obecnie generał wojsk polskich, w rozkazie dziennym zaznaczył mężne zachowanie się 9 kompanji, a w szczególności plutonu porucznika Lipińskiego i jego dowódcy, który otrzymał odznaczenie „Signum laudis“ (znak chwały).

To był pierwszy czyn, przynoszący zasłużoną chwałę naszemu pułkowi, — czyn godny naśladowania, bo stwierdzający, że żołnierze, jakkolwiek wówczas jeszcze z wojną nieobyci, — poszli za dobrym przykładem swego dowódcy i mężnie wypełnili trudne zadanie, chroniąc tym sposobem zdrowie i życie tych swoich towarzyszy broni, którzy za nimi postępowali i również za Wisłę przepawić się mieli.

POD ANNOPOLEM.

Dzień 23 sierpnia 1914 upamiętnił się krwawem starciem naszego pułku z oddziałami rosyjskiej armji pod Annopolem.

Pułk nasz otrzymał rozkaz obsadzenia wzgórza na północny wschód od Annopola. Wypełnienie tego zadania nie było łatwe, bo droga wiodąca do owego wzgórza i wzgórze samo było pod ogniem nieprzyjacielskiej artylerji, która—jak nas doświadczenie pouczyło — była bardzo sprawna, a jej strzały pewne i celne.

Mimo tej trudności, spowodowanej ożywioną akcją nieprzyjacielskiej artylerji, powiodło się naszemu pułkowi zajęcie naznaczonego wzgórza i obsadzenie znajdującego się tam lasu.

W chwili, gdy żołnierze naszego pułku zajęli las, na szosie, wiodącej od Nowej Wsi do Annopola, ukazał się oddział ułanów austriackich pędzących cwałem, a za nim silny oddział kawalerji rosyjskiej.

Jedynie działaniu naszego pułku, który celnym ogniem karabinowym siał spustoszenie w szeregach ścigającej jazdy nieprzyjacielskiej, zawdzięczyć należy uratowanie od zagłady oddziału ułanów.

Z Annopola posunął się nasz pułk ku Święciechowu, gdzie nastąpiło zderzenie z 13 pułkiem rosyjskich huzarów, którzy, spieszeni, zaatakowali naszą 3 kompanję i dwa plutony kompanji 16-tej.

Z brawurą i pogardą śmierci rzuciły się zaatakowane nasze oddziały na nieprzyjaciela i odepchnęły go w tem spotkaniu. Święciechów jednak pozostał jeszcze w jego ręku;—później dopiero dzięki dobremu manewrowi strategicznemu pułkownika Bijaka—znalazła się załoga rosyjska Święciechowa w bardzo krytycznem położeniu, grożącym jej zupełnem okrążeniem, i to skłoniło dowództwo rosyjskie do cofnięcia się w kierunku północnym, przyczem Rosjanie ponie-

śli znaczne i dotkliwe straty, zarówno w ludziach, jak i w materiale wojennym.

W tym stanie rzeczy należało, dla zabezpieczenia zdobytych pozycji, zająć wzgórze, panujące nad Święciechowem od strony wschodniej, co też, mimo trudności, wywołanych ogniem piechoty i artylerji rosyjskiej, pułk nasz z całą dokładnością chwalebnie wykonał.

Wówczas to otrzymał dowódca naszego pułku, obecnie p. generał Bijak, rozkaz opuszczenia zajętego wzgórza, celem dania wojsku wypoczynku po całodziennych trudach. Pułk miał udać się na nocleg do Święciechowa.

Ale pułkownik Bijak, oceniał trafnie położenie i wiedział, że opuszczając zajęte stanowiska, umożliwi opanowanie tegoż przez nieprzyjaciela i że ów spoczynek w Święciechowie w tych warunkach trwałby bardzo krótko, zaczem też poszłyby i dalsze niepomyślne następstwa.

Aby im zapobiedz, postanowił pułk. Bijak pozostać z naszym pułkiem nadal na owem wzgórzu, o czem zawiadomił przełożoną swą władzę; — tem swoim postanowieniem ocalił w rzeczywistości nietylko zdobyte już stanowisko, ale nadto cały plan kampanji, rozwijającej się na tym odcinku.

Tak przeszedł dzień cały i noc. — Żołnierze naszego pułku przetrwali je wśród zmagañ ze znacznymi siłami nieprzyjacielskimi, o głodzie, gdyż do późnego wieczora nie nadeszły kuchnie polowe i pierwsze pożywienie można było przyrządzić z zapasów podręcznych dopiero około 9 wieczorem.

W ten dzień pamiętny przypadło także zaćmienie słońca, które przykre wywołało wrażenie, mimo, że przez astronomów było już z końcem roku 1913 obliczone i przepowiedziane.

Temu wrażeniu dziwić się nie można. Na wojnie, która swem ramieniem ogarnęła ludzi jeszcze z nią nieobitych, a postawionych w obliczu groźnego niebezpieczeń-

stwa i to nie dla swoich, ale dla obcych celów — to zgaśnięcie światła słonecznego było jakby prognostykiem wiecznego mroku, który niejedne źrenice miał w dniu tym przysłonić na zawsze.

Szczęściem nie sprawdziły się te złe przeczucia, wywołane naturalnem zjawiskiem astronomicznem: pułk nasz poniósł w tym dniu straty bardzo nieznaczne, a natomiast okrył się chwałą osiągniętego zwycięstwa.

POD SKRZYŃCEM I WIERZCHOWISKAMI.

W trzy dni po potyczce pod Annopolem rozegrała się w dniach 26 i 27 sierpnia 1914 roku bitwa pod Egersdorfem, Skrzyńcem i Wierzchowiskami, zakończona dla armji austriackiej bardzo niepowodzeniem.

Brak należytej orientacji, brak odpowiedniej ilości artylerji i amunicji były przyczyną tego niepowodzenia, które bardzo łatwo mogło przybrać charakter najzupełniejszej klęski, gdyby nasz pułk nie zapobiegł jej skutecznie.

Pod Skrzyńcem zgromadziła komenda austriacka znaczniejsze, ale niedostatecznie zaopatrzone siły, a posuwając je na oznaczone miejsca, nie postarała się o to, by jeden oddział miał o stanowisku drugiego pewne wiadomości.

Weszły więc do akcji: 20. pułk piechoty, V bataljon polnych strzelców i pułk honwedów węgierskich 101. brygady. Żołnierz młody, nieobyty z wojną, uległ pierwszemu wrażeniu, a zajmując przy gęstej mgle, wśród mroku wieczornego swoje stanowiska, i nie mając żadnej wiadomości o stanowiskach innych oddziałów swojej armji, — otworzył silny ogień karabinowy na inne oddziały, a także i na poszczególne kompanje naszego pułku, które pierwsze swoje stanowiska zajęły.

Ta strzelanina mogłaby spowodować prawdziwą katastrofę, gdyby kapitan Wolf, dowódca 3. kompanji na-

szego pułku — nie poświęcił się dla ochrony życia swoich towarzyszy broni.

Wśród gradu kul, nie chroniąc się przed niemi, poszedł ku strzelającym oddziałom, nawołując do zaprzestania ognia, który istotnie wstrzymano.

W oddziale podpułkownika Hippla było, niestety, 10 rannych.

Tymczasem rosyjskie wojska stały w przygotowanych i doskonale urządzonych szańcach. Nadto miały wielką ilość karabinów maszynowych i armat różnego kalibru, nie wyłączając ciężkich dział.

Tam zatem miał pułk nasz sposobność zetknąć się po raz pierwszy w tej wojnie z nieprzyjacielem, rozpoczynającym walkę pozycyjną, do której właśnie brakowało armji austriackiej wszelkiego potrzebnego materiału.

Liczna rosyjska artylerja uniemożliwiała przełamanie rosyjskich pozycji, a chociaż były momenty, w których dałoby to się skutecznić, to znowu brak amunicji nie pozwalał na podjęcie takiego przedsięwzięcia. Żołnierze jednak naszego pułku z bagnetem w ręku poszli do ataku na nieprzyjacielskie szańce, ziejące ogniem ręcznej broni i karabinów maszynowych i wyparli z nich rosyjskie oddziały!

Następstwem tego świetnego i bohaterskiego czynu „dzieci tarnowskich” mogłoby być zupełne zwycięstwo, gdyby Węgrzy dotrzymali miejsca. Niestety, honwedzi, których zadaniem było wesprzeć nasz atak, zaczęli natychmiast cofać się, skoro ozwał się warkot szrapneli, prujących powietrze nad ich głowami.

Cofnęli się śpieszniej, aniżeli tego honor żołnierza wymagał, pozostawiając naszemu pułkowi zaszczyt chronienia ich odwrotu.

Gdy i to zadanie pułk nasz spełnił, zeszedliśmy zgodnie z otrzymanymi rozkazami z pola walki, cofając się w porządku do Ratoszyna.

Bitwa była przegrana dla Austrii, ale nie dla na-

szego pułku, którego brawurowa odwaga, ciętość i męstwo wyróżniły się wśród wojsk innych narodowości.

Nasz pułk zachowaniem swoim i swemi czynami w tej bitwie stwierdził dowodnie, że Polacy we wszystkich warstwach społecznych mają i zachowali rycerskiego ducha, którego z piersi narodu wyrzecz nie zdołała półtora wiekowa niewola!

POD GRONDAMI.

Dzień 5 września 1914 upamiętnił się spotkaniem pod Grondami.

Pułk nasz, po opisanych wypadkach, kwaterował w Ratoszynie, gdzie otrzymał rozkaz odmarszu ku Radlinowi. Już wówczas słychać było w Ratoszynie odgłosy żwawych strzałów karabinowych, przeplatanych nierzadko grzmotem ognia działowego.

Na dzieciach tarnowskich nie zrobiły jednak te echa żadnego wrażenia: żołnierze szli z animuszem w ten ogień. z humorem, bez cienia trwogi i ufni w swoje zwycięstwo.

Dowództwo dywizji po generale Lilienhoffie, objął wówczas generał-major Rozwadowski, który, otrzymawszy wiadomość o słabym ubezpieczeniu rosyjskich pozycji pod Grondami — Adelina, postanowił zaatakować je w nocy z 5 na 6 września.

Jakoż o 11 wieczorem rozpoczął nasz pułk akcję, skierowaną ku pozycjom, zajęтым już przez 20 pułk piechoty, wskutek czego nasze oddziały, omijając labirynt zasieków, przeszkód i drutów kolczastych, skierowały się ku zachodowi, gdzie w szanłach stali honwedzi.

Wówczas to, gdy trzeci bataljon naszego pułku posuwał się tą stroną dla zaatakowania pozycji nieprzyjacielskich, został niespodziewanie zaatakowany ze skrzydła silnym ogniem karabinowym, którym obsypali go honwedzi. Do-

wódca tego bataljonu major Marek został ranny i musiał komendę złożyć w ręce kapt. Wolfa.

Wszelkie usiłowania wojsk austriackich tej nocy spełzły na niczem. Zajęcie wsi Grondy, zasypywanej zresztą armatnimi pociskami z dział rosyjskich, nie zdecydowało o zwycięstwie, było ono chwilowym sukcesem bez znaczenia; jak również bez znaczenia było opanowanie poszczególnych części szanów nieprzyjacielskich i wzięcie do niewoli kilkudziesięciu żołnierzy 70. i 71. pułku piechoty rosyjskiej z dwoma oficerami.

I w tej bitwie, podobnie jak w bitwie pod Skrzyńcem i Wierzchowiskami, — porażka dotykała Austrię, a chluba czynów wojennych, determinacji, nieustraszonej odwagi i wytrwałości przypadła w udziale żołnierzom pułku ziemi tarnowskiej.

POD LIPĄ.

Cała ta kampanja, od Annapola począwszy, była akcją wojenną, kierowaną przez austriackiego generała Dankla przeciw rosyjskim wojskom, opartym o Kraśnik; stąd też całokształt tych walk znany jest pod nazwą: „bitwy pod Kraśnikiem”.

Po niepomyślnych przedsięwzięciach innych wojsk austriackich na całej linii, a naszej brygady pod Grondami, — główne dowództwo wydało rozkaz pospiesznego cofania się ku granicy galicyjskiej. Nasz pułk wykonywał ten odwrót nocą, w bardzo trudnych warunkach, przez Zdechowice, Polko, Ireń, Brzozy i Budy ku wsi Lipie, skąd leśną drogą miały nasze oddziały pod przyczółkiem Kępy przejść pontonowy most na Sanie, by wrócić na teren Galicji.

Przemarsz ten najeżony był ogromnemi trudnościami i wielkiem niebezpieczeństwem, zwiększającym się z każdą chwilą przez zawalenie drogi odwrotu wozami pociągów artylerji i wozów amunicyjnych. Nadto droga ta na-

szego odwrotu wiała się przez gęste lasy, miejscami wśród głębokich piachów, miejscami znów wśród grzązkich błot i bagien, — co wszystko dawało zwycięskiej armji nieprzyjacielskiej całkowitą przewagę nie tylko moralną, ale i materialną nad cofającą się armją austriacką.

Na szczęście, pościg uchodzących wojsk austriackich nie nastąpił dość szybko. Gdyby dowództwo rosyjskie rozpoczęło go było natychmiast, prawdopodobnie klęska urosłaby do rozmiaru nieobliczalnej w skutkach katastrofy; ale Rosjanie następowali powolnie. Gdy ze wszystkich stron zeszły się na jednej drodze koło przyczółka Kępy niedobitki 12. i 5. pieszej dywizji i 101. brygady honwedów, a cisnące się pociągi zamknęły wszelką komunikację, wówczas dopiero doniesiono o pojawieniu się pierwszych kozackich patroli, które zaledwie się zbliżyły ku wsi Lipie.

Nasz pułk w pierwszej chwili nie miał możności przedostania się do pontonowego mostu, bo drogi wolnej nie było; oddziały innych pułków, chcąc nie chcąc, urządziły sobie spoczynek i ich żołnierze mieli czas na przyrządzenie obiadu, który z apetytem spożyli.

Dopiero około 1-ej po południu echa leśne przyniosły odgłosy gęstych strzałów karabinowych. To nieprzyjaciel nadciągał różnemi drogami, a obsadziwszy lasy po obu stronach drogi odwrotu armji austriackiej, prażył ogniem ręcznej broni, cofające się w nieładzie, oddziały, pociągi i parki artyleryjskie.

Powstało nieopisane zamieszanie i zamęt, wśród którego należało przedsięwziąć jakąś akcję, celem powstrzymania nieprzyjacielskiego naporu, bo tylko w ten sposób można było mieć nadzieję przeprowadzenia się na drugi brzeg Sanu.

Pułk 20. pod dowództwem pułkownika Puchalskiego wystąpił do boju — a I i III bataljon naszego pułku, które tymczasem były już u przeprawy, powróciły ztamtąd, wspie-

rając akcję 20. pułku; wkrótce też i działa austriackie, zajmując pozycje, otworzyły ogień na lasy, zajęte przez nieprzyjaciela, któremu tymczasem nadeszły silniejsze posiłki.

Był rozkaz utrzymania nieprzyjaciela w szachu, dopóki pociągi nie przebędą niebezpiecznej drogi, jakby alei wśród ognia karabinowego; — ale samym ogniem karabinowym i działowym cel ten niezupełnie mógł być osiągnięty: należało wyprzeć rosyjskie oddziały z tych pozycji, które odwrotowi najbardziej i bezpośrednio zagrażały.

Zadanie to przypało w udziale III bataljonowi i 2 plutonom drugiej kompanii naszego pułku.— Żołnierze III bataljonu zaatakowali odcinek lasu, lecz, ku swemu zdziwieniu, nie znaleźli w nim wojsk nieprzyjacielskich. Jak się później okazało, Rosjanie ukryci byli wśród listowia drzew na ich wierzchołkach. Dwa plutony 2. kompanii natomiast trafiły na nieprzyjaciela, który jednak w ogromnie przeważającej sile otoczył je i zabrał do niewoli, tak, że tylko trzech żołnierze z tego oddziału do pułku powrócili.

Z powodu zwiększającego się nacisku nieprzyjacielskiego bitwa u tej przeprawy także i po stronie austriackiej zaczęła się rozszerzać; dowództwo wprowadzało do niej coraz nowe oddziały i w końcu wzięły w niej udział prócz pułku 20. i naszego także bataljony pułku 15. i 100.

Okolo godziny 3 po południu pociągi wyszły z promienia nieprzyjacielskiego ognia, zaczem też dano rozkaz przerwania bitwy i cofnięcia się ku Galicji.

Wykonanie tego rozkazu nie obeszło się bez wypadku. Po przejściu 16. kompanii naszego pułku przez bagna leśne następujące oddziały IV bataljonu, nie natrafiwszy na właściwą ścieżkę zapadły w owe błota, w których znalazło śmierć wielu walecznych żołnierzy!

Naszej 14. kompanii powierzono osłanianie odwrotu wojsk austriackich, co też spełniła zupełnie skutecznie, gdyż nieprzyjaciel, jakkolwiek rozporządzał przeważającymi siłami, nie posunął naprzód swoich pozycji, lecz

pozostał w leśnych gąszczach, porzestając na niepokojeniu cofających się oddziałów ogniem karabinowym!

Tak niefortunnie dla Austrii skończyła się, sławna w dziejach tej wojny, wielka bitwa pod Krasnikami. Że w chwili jej rozegrania nie potoczył się walec rosyjski i nie zgniół swym ciężarem Austrii już zaraz na początku wojny światowej, że przez to carat nie wzrósł wówczas do potęgi i sławy, to zasługa polskiego żołnierza, który trwał i obronną ręką wychodził z każdej potrzeby, z każdego niepomysłnego położenia, w które wtrącała go nieudolność najwyższego dowództwa armji.

POD ZBYDNIOWEM I ZALESZANAMI.

W dniu 14 września 1914 oddziały węgierskich pułków otrzymały rozkaz zamknięcia przeprawy przez San na północ i na północny-zachód od Zaleszan oraz ściągnięcia pontonowego mostu pod Kępą; nasz pułk zaś rozkaz obsadzenia lasu koło Grabczyny, który wówczas znajdował się pod silnym ogniem dział nieprzyjacielskich.

Nasz pułk wskazane mu zadanie wykonał, pomimo tego, że drogę, którą przebywał, pruły granaty, że nad głowami naszych dzielnych żołnierzy pękały szrapnele; Węgrzy atoli zadania swego nie spełnili. Echa tych strzałów, nie do nich nawet skierowanych, wystarczyły do odebrania im ducha: porzucili swoje stanowiska i, nie zniszczywszy nawet mostu pod Kępą, pozostawili go nieprzyjacielowi do użytku!

Tymczasem Zaleszany były już w rękę rosyjskiem. Nasz pułk, wspólnie z 20. pułkiem piechoty, miał pierwotnie zaatakować tę miejscowość; jednakże odstąpiono od tego zamiaru, kierując nas do Zbydniowa, z pozostawieniem na zajętych pozycjach oddziałów, wystarczających do powstrzymania możliwej przeprawy dalszych wojsk rosyjskich.

Ze Zbydniowa był zamiar cofnięcia się dalej na południe, ale rozkazy głównego dowództwa armji ulegały teraz częstym zmianom — i znów otrzymał nasz pułk rozkaz pozostania na miejscu. Następnego dnia, 15 września 1914, otrzymała 12. dywizja piechoty, do której i nasz pułk należał — rozkaz wymarszu ku Zaleszanom.

W szeregach, jak podczas ćwiczeń, wyszły sprawne bataljony z miasteczka, na które poczęły padać pociski artylerji nieprzyjacielskiej. Około godziny 8 rano zbliżyły się pierwsze szeregi naszego pułku ku Zaleszanom, rozpoczynając ogień karabinowy; spostrzeżono jednak w tej chwili, że rosyjska baterja zajeżdża na pozycję, z której zmieść mogła bez śladu naszych żołnierzy.

W tej decydującej chwili plutonowy Mikowski z półplutonem 12. kompanji atakuje ową baterję, celnymi strzałami wybija jej konie, zagarnia działa i bierze 28 artylerzystów do niewoli.

Ten dzielny, bohaterski czyn Mikowskiego i jego towarzyszy nie przyniósł jednak zbyt poważnych następstw, gdyż wielka siła piechoty rosyjskiej zmusiła dzielnych naszych żołnierzy do cofnięcia się i pozostawienia zdobytych armat na miejscu!

Nierówna walka trwała tu przeszło trzy godziny bez rozstrzygnięcia, gdy około południa spostrzeżono poza naszą linią bojową konne nieprzyjacielskie straże przednie i z Zaleszan w tym czasie zaczęły wysypywać się liczne szeregi rosyjskiej piechoty a równocześnie ulewa kul z karabinów maszynowych obejmuje nasze pozycje i powrotną drogę do Zbydniowa.

To spotkanie powoduje znaczniejsze straty w szeregach austriackich i w naszym pułku, który, cofając się, odpiera skutecznie okrażające go oddziały rosyjskie i w ten sposób dochodzi z powrotem do Zbydniowa, tracąc po drodze wielu towarzyszy broni, wielu oficerów, a między nimi także ukochanego przez żołnierzy pułkownika, Juljusza Bi-

jaka, który, odniósłszy ciężką ranę, dostał się tam do niewoli rosyjskiej.

Wydobyszy się z okrążającego pierścienia wojsk nieprzyjacielskich. pułk nasz cofnął się przez Kotową Wołą i Jamnicę do Grębowa.

Okrążenie wojsk austriackich stało się możliwe od chwili ustąpienia Węgrów zznaczonych im pozycji. Rosjanie istotnie w kilku miejscach przekroczyli San i tym sposobem znaleźli się na tyłach naszej linii bojowej, skierowanej przeciw Zaleszanom.

POD MARJANOWEM.

Po opisanych powyżej wypadkach pułk nasz przechodził różne koleje. Przedewszystkiem, po doznanych niepowodzeniach armji austriackiej, musiał zebrać się i skompletować, a gdy to nastąpiło, dowództwo wojsk austriackich wprowadziło go nanowo do akcji wojennej.

W tym czasie pułk wykonywał rozliczne marsze napród i wstecz, często bezpożyteczne i pod względem strategicznym bezcelowe, stoczył cały szereg mniej znaczących potyczek, aż wreszcie znalazł się wraz z innemi wojskami na linii bojowej, skierowanej przeciw fortyfikacjom rosyjskim w Dęblinie, zwanym przez Rosjan „Iwangorodem“.

Wypełniając otrzymane rozkazy, zbliżyły się w dniu 22 października 1914 nasze oddziały do małej wioszczyny zwanej Przejazd, gdzie rozłożyły się obozem, mając w Marjanowie, oddalonym od Przejazdu o 1 klm. drogi, 3. pułk piechoty austriackiej, a dalej na północ, we wsi Brzuza, 30. rezerwową dywizję niemiecką.

O pierwszym świtaniu 23 października zaatakowali Rosjanie w Marjanowie 3. pułk piechoty, który poszedł w rozsypkę — i uciekał w nieładzie do lasu wsi Cecyłowki.

Przedtem jeszcze, zanim Rosjanie zaatakowali

Marjanów, miał pułk nasz rozkaz wymarszu o świcie w kierunku północno-wschodnim, jednakże w ostatniej chwili z powodu właśnie usadowienia się wojsk rosyjskich w Marjanowie, dyspozycje te zmieniono w ten sposób, że rozkazano pułkowi naszemu zaatakować Marjanów od wschodniego skraju wsi.

Wykonanie tego rozkazu musiałyby spowodować zupełny pogrom naszego pułku, który wszedłby dobrowolnie w pierścień wojsk rosyjskich i w ich krzyżowy ogień! Ówczesny dowódca naszego pułku, pułkownik Pöschek, na własną odpowiedzialność wykonał ruch wręcz przeciwny, kierując się na zachód.

Po drodze pozostał jeden nasz bataljon przy 3. pułku, który, otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia, sformował się w lesie, zajmując pozycję obronną.

Podczas marszu naszych bataljonów, wypadł z Marjanowa oddział piechoty rosyjskiej, który nas zaatakował, przyjęty jednak rzęsiстым i celnym ogniem, cofnął się w popłochu.

Wówczas zajął pułk nasz pozycje przy wiatraku na obszarze wsi Ceczyłowa, czem zapewnił sobie kontakt z wojskami niemieckimi, które — jak się wyżej powiedziało — stały w Brzuzie.

Pułkownik Pöschek miał zamiar posunąć się ku Marjanowu i uderzyć na nieprzyjaciela od prawego jego skrzydła, o czem zawiadomił dowództwo brygady, które plan jego uznało za właściwy.

Około południa kapitan Malik, dowódca pierwszej kompanji naszego pułku, należącej do pozostawionego w lesie bataljonu — otrzymał rozkaz od majora 3. pułku piechoty obsadzenia przestrzeni pomiędzy lasem Ceczyłówki a Marjanowem, która zdawała się owemu majorowi zupełnie nieobsadzona. Tymczasem przestrzeń tę bardzo silnie obsadzili Rosjanie — a mimo to, udało się półbataljonowi naszego pułku nie tylko wyprzeć z niej rosyjskie wojska,

ale także wtargnąć do Marjanowa, gdzie rosyjskie oddziały, ukryte w domach i za barykadami, zawzięcie się broniły. Wówczas to na rozkaz kapitana Malika wieś podpalono.

Była chwila, w której zdawało się, że zajęta z takim trudem pozycję w Marjanowie zdołają nasze oddziały utrzymać; Rosjanie jednak pchnęli na Marjanów znaczniejsze siły, które otoczyły kapitana Malika, zabierając go wraz z 70 żołnierzami do niewoli, podczas gdy reszta naszego oddziału rozproszyła się i w końcu pojedynczo powróciła na pierwotne swoje stanowisko.

Po tem starciu—pułkownik Pöschek porozumiał się z komendą w Brzuzie i umówiono się, że wojska niemieckie zaatakują od strony wschodnio-południowej nieprzyjaciela, stojącego we wsi Stanisławowie, stanowiącej przedłużenie wsi Ursynowa. Tym sposobem spodziewał się pułkownik Pöschek otoczyć siły rosyjskie lub przynajmniej odciąć im odwrót i zadać stanowczą klęskę.

Liczebnie jednak był nasz pułk za słaby do przeprowadzenia tego; chcąc obsadzić wzgórze, położone na południowej stronie Ursynowa i panujące nad tą miejscowością, a równocześnie zaatakować nieprzyjaciela od prawego skrzydła — potrzeba było bezwarunkowo mieć więcej wojska. I znowu sytuacja stawała się korzystniejszą, gdyż nadciągnął bataljon 56. pułku piechoty, był także w drodze bataljon obrony krajowej, i wiadomość o posuwaniu się lasami 20. p. p., który miał również w oznaczonym czasie znaleźć się na wysokości wsi Marjanowa; ale to wszystko jakoś się nie wiązało, nie schodziło co do czasu, aż wreszcie jesienny wczesny mrok zaczął zapadać, wobec czego o dalszych strategicznych ruchach nie można było już myśleć.

Wieczorem nadszedł rozkaz dowództwa brygady z poleceniem zabezpieczenia stanowiska i pozostania na niem przez noc, oraz porozumienia się z niemieckim dowództwem, aby podległe mu wojska nazajutrz, 24 października, zaatakowały nieprzyjaciela od strony południowo-wschodniej.

Noc jednak nie przeszła spokojnie. Skoro tylko zupełnie się ściemniło, 43. dywizja piechoty wdała się na nowo w walkę, w czasie której 9. kompanja naszego pułku, w połączeniu ze sformowaną częścią I kompanji przypuściła tak dzielny atak, pomimo strat w swoich szeregach, że Rosjanie wycofali się z Marjanowa i z odcinku w tej okolicy, przenosząc się do dalszych, o 8—10 klm. oddalonych, linii obronnych w kierunku Dębłina.

Po tej utarczce, zakończonej około 8 wieczorem, pułk nasz zgromadził się przy Cecyłówce.

Nazajutrz, 24 października, otrzymało dowództwo brygady wiadomość, że wojska niemieckie poprzedniego już dnia wykonały zwycięski atak na Sewerynow i że wieś Stanisławów znajduje się w ich ręku.

Wiadomość ta wydawała się wątpliwą tembardziej, że rozkaz tego samego dowództwa brygady zalecał sprawdzenie tej wiadomości i bezwzględne doniesienie sobie, jaka jest istotna sytuacja w Stanisławowie.

Ostatni rozkaz obejmował także dyspozycje, dotyczące operacji, planowanych na najbliższe godziny. O 6 rano pułk nasz wyruszył i w krótkim czasie natknął się na piesze patrole niemieckie, a w dalszym marszu ku wsi Stanisławów na III i I bataljon 20 p. p. i oddziały 86. brygady pieszej obrony krajowej. Po drodze spotykano ślady bitwy, leżało tam wiele trupów rosyjskich i austriackich. Wówczas pułkownik Pöschek objął dowództwo nad całą grupą operujących w tem miejscu wojsk, które też skierowały swój pochód ku wsi Stanisławicy, słysząc bezustannie echa gęstych strzałów karabinowych i działowych.

Doszedłszy do brzegu lasu, zatrzymał się pułk nasz i inne oddziały, celem okopania się tam, zgodnie z otrzymanym rozkazem, uzasadnionym tem, że mieliśmy przed sobą nie dalej jak o 500 kroków bardzo silnie umocnioną nieprzyjacielską pozycję.

Zaleźwie jednak rozkaz ten wydano. już 56. p. p., ope-

rujący na lewem naszym skrzydle, znaleźli się w odwrocie, — za chwilę nastąpił szybki odwrót 22. p. p. obrony krajowej i następnie już bezładny odwrót innych oddziałów, wśród których bądź niesiono, bądź też prowadzono bardzo wielu rannych, a także do niewoli wziętych żołnierzy rosyjskich.

Okazało się przytem, że cała wyprawa była chybiona, albowiem armja rosyjska obsadziła była wszystkie lasy, a przewaga jej liczebna i doskonale wiadomości, jakie miała o ruchach wojsk austriackich — przesądzały wynik bitwy na jej korzyść.

Nasz pułk wraz z całą grupą wojsk dowództwa pułkownika Pöscheka wykonał również odwrót, Rosjanie zwyciężyli!

POD SZYDŁOWCEM.

Po słabej niemieckiej i austriackiej akcji na Dęblin, cała armja operująca przeciw tejtwierdzy znalazła się w odwrocie, który początkowo był bezładny; w miarę jednak odsuwania się od nieprzyjaciela, porządek zapanowywał w szeregach.

Na pochwałę „dzieci tarnowskich“ podnieść należy, że w tym okresie wojny światowej, w którym tak częste i dotkliwe klęski ponosiła Austrja, pułk nasz, nawet w najgorszej sytuacji, nie uległ nigdy popłochowi i, jeżeli cofał się na rozkaz głównego dowództwa, to zachowywał w swoich szeregach wzorowy porządek i najczęściej, jako straż tylna, chronił odwrót innych oddziałów.

Po czterodniowym marszu ku południowi, minął nasz pułk Wolę Gołębiowską i skierował się do Radomia, a następnie do Młodocina, gdzie naznaczono jednogodzinny spoczynek. Po drodze towarzyszyły nam bezustanne eksplozje, — albowiem wysadzano w powietrze mosty kolejowe i drogi, jedne dla utrudnienia odwrotu wojsk austriac-

kich i niemieckich, inne dla uniemożliwienia pościgu armji rosyjskiej.

Okolo godziny 5 wieczorem, dnia 24 października 1914 r. po odbyciu 30 klm. drogi, stanął nasz pułk w Szydłowcu, nie mając już kontaktu z nieprzyjacielem. Tu otrzymało dowództwo pułku wiadomość o niepowodzeniach wojsk niemieckich, o ich odparciu z pod Warszawy i o odwrocie armji niemieckiej do Kielc, a także i o tem, że V korpus armji austriackiej znajduje się również w odwrocie.

Dnia 29 października rano otrzymał pułk nasz rozkaz, aby w związku z innymi oddziałami, znajdującymi się na wschodnim i zachodnim skrzydle, zatrzymał nieprzyjaciela do wieczora dnia następnego, sprawdziwszy jego ugrupowanie i siłę. W tym celu wzmocniono pułk jedną baterją dział polowych i 4 szwadronami czwartego pułku ułanów obrony krajowej.

Po otrzymaniu tego rozkazu, okolo 4 rano, wydano stosowne dyspozycje; następnie w myśl dalszych rozkazów pułk nasz wysłał 16. kompanję, celem obsadzenia drogi na północny-wschód od Szydłowca.

Wykonując ten rozkaz 16. kompanja okopała się przy drodze wiodącej do Radomia, zamykając tym sposobem wejście do wsi Szydłówek i wyjście ze wsi Jankowiec.

Do godziny 9 i pół przed południem pozycja ta była zajęta i należycie ubezpieczona.

Po pewnym czasie nadciągnęły ku naszym stanowiskom 3 bataljony 41. p. p. wraz ze sztabem 51. brygady piechoty, które zatrzymały się w miasteczku Szydłowcu, okopawszy się tam dla odparcia spodziewanego ataku. Naszemu pułkowi przybył na pomoc. IV bataljon, złożony z nowozaciężnych i zupełnie jeszcze niewyćwiczonych żołnierzy.

Okolo południa ściągnięto ze stanowiska 16. kompanję naszego pułku, która połączyła się ze swym bataljonem. Zimno było dokuczliwe, co tem więcej dawało się naszym

żołnierzom we znaki, że administracja wojsk austriackich nie dostarczyła, mimo późnej jesieni, ciepłej bielizny i odzieży.

Po krótkim odpoczynku i skromnym posiłku, zabrały się oddziały owego niewycwiczonego IV bataljonu do pracy około ubezpieczenia stanowisk, co tem bardziej było wskazane, że wiadomości, zasiągnięte o wojskach nieprzyjacielskich, stwierdzały bliską ich obecność, a gęsta mgła jesienna, kłębiąca się przy ziemi, zasłaniała ich ruchy, wystawiając nasze oddziały na tem większe niebezpieczeństwo.

Przed wieczorem w białej mgle, zamajaczyły pierwsze sylwetki rosyjskich jeźdźców. To konne patrole zbliżały się do stanowisk naszego pułku; przyjęte jednak ogniem karabinowym, utonęły we mgle, pozostawiając w naszych szeregach pewność, że nieprzyjaciel jest w marszu i niebawem już na nas natrze.

W tych warunkach noc nie mogła dać spokoju i upragnionego wywczasu „dzieciom tarnowskim”: musiało się długie godziny spędzić w czujnem pogotowiu, by uniknąć możliwych i niemiłych niespodzianek. Mimo bliskości nieprzyjaciela minęła jednak ta noc zupełnie spokojnie; dopiero gdy wstał szary, jesienny świt, zimny i jeszcze gęstsza mgłą spowity, aniżeli miniony wieczór, dowództwo naszego pułku lub raczej grupy wojsk pod jego komendą pozostającej — wyprawiło pociągi na południe ku rzece Kamiennej i tem samem ku granicy galicyjskiej.

W chwilę potem, w tej białej mgle porannej ujrzeliśmy sylwetki jeźdźców, posuwających się ku naszym stanowiskom, ale już w większej liczbie, i znowu zagruchoły strzały karabinowe, i znowu wataha kawalerzyska znikła jak sen w kłębach mgły. Odtąd napór nieprzyjacielski począł przybierać na sile, znać było wzmożony ruch po stronie przeciwnej i wreszcie pod osłoną tej mgły nieprzenikliwej rozwinęła się w linię bojową piechota rosyjska, nie w większem oddaleniu jak 800 kroków od naszych pozycji.

Mgła na ogół była dla nas niepomyślna, ale też oddała nam pewne usługi, pod jej osłoną bowiem mogły nasze oddziały zająć pozycje na lewem i prawem skrzydle naszej linii bojowej, zabezpieczając ją od flankowych ataków, mógł także IV baon zająć brzeg lasu na północny-wschód od przysiółka Sadek, przez co jednym ramieniem panował wraz z oddziałem karabinów maszynowych nad szosą, wiodącą do Szydłowca i Jastrzębia, drugim nad torrem kolejowym, podczas gdy 16 i 13 kompanja naszego pułku zajęły środek pozycji, jako siła rezerwowa.

Liczne, i coraz liczniejsze oddziały kawalerji nieprzyjacielskiej ukazywały się co chwila; gdy siła ta zdawała się podwajać i potrajać przy każdym nowem pojawieniu się—przydzielona do naszej grupy artylerja otworzyła ogień działowy.

Nie można było z całą stanowczością stwierdzić, w jakiej sile nieprzyjaciel następuje—nie ulegało jednak żadnej wątpliwości, że mieliśmy przed sobą jedną brygadę kawalerji z odpowiednią ilością armat i co najmniej 3 bataljony piechoty, z których dwa posuwały się drogą od Pawłowa, a jeden wzdłuż toru kolejowego od Radomia,—z czego wynikało jasno, że nieprzyjaciel ma zamiar natrzeć na nas z dwóch stron od wschodu i zachodu—lub też otoczyć nas i dokładnie zamknąć w swoim pierścieniu.

Wówczas pułkownik Pöschek wydał rozkaz porucznikowi Mendererowi, ażeby z dwoma plutonami obsadził drogę, wiodącą do Pawłowa i powstrzymał pochód nieprzyjaciela.

W wypełnieniu tego rozkazu porucznik Menderer obsadził półtora plutonem tą drogę, zlecając plutonowemu Pia-seckiemu, aby z pół plutonem pozostał w rezerwie.

Teren operacyjny tego małego oddziału był bardzo niekorzystny dla spełnienia wskazanego zadania, już przez to samo, że widnokrąg był ograniczony zaledwie do 300

kroków, gdyż ze wszech stron zamykały go małe wzgórza i domy w gęstym obramowaniu drzew.

W chwilę po zajęciu tej pozycji przyszła wiadomość, że ciągnące od Pawłowa siły rosyjskie zeszyły z drogi, kierując się na prawo.

Tę wiadomość przesłał Menderer dowództwu pułkowemu; tymczasem na jego stanowisku cisza była i spokój; żołnierze jego oddziału raźnie się okopywali, gdy naraz echa strzałów armatnich zagrzmiały i pociski zaczęły padać na ten oddział, a równocześnie wśród domów i ogrodów ozwał się grzechot gęstych strzałów karabinowych.

Pozycje nieprzyjacielskiej artylerji i jej asekuracji były już prawie wiadome, wobec czego porucznik Menderer polecił Piaseckiemu podsunąć się do nich i spędzić je jak najprędzej. Piasecki atoli z półplutonem nie mógł wypełnić poruczonego mu zadania, zwłaszcza że znalazł przed sobą bardzo silną linię bojową piechoty.

Skoro Piasecki o tem doniósł porucznikowi, ten natychmiast pospieszył mu z jednym plutonem na pomoc, a gdy tak wzmocniony oddział zaczął szybko gęstymi strzałami zasypywać linię rosyjską — wielu nieprzyjacielskich żołnierzy wymykało się z kryjówek i ogień z tej strony mocno osłabł; natomiast wzmógł się przy głównem stanowisku pułku, przyczem nieprzyjacielska artylerja skierowała bardzo silny ogień na Szydłowiec.

Losy tego spotkania jeszcze się ważyły, gdy nadeszła wiadomość, że od Rogowa kilka nieprzyjacielskich bataljonów z kawalerją i działami ciągnie na Szydłowiec.

Otoczenie naszych oddziałów stało się wobec tego kwestją krótkiego czasu; nie pozostawało więc nic innego do zrobienia, jak przerwać akcję bitewną i wyjść z zacieśniania się obręczy póki można.

Nakazano odwrot — i rozkaz ten przesłano porucznikowi Mendererowi. Szkoda, że nikt z obecnych w tej potrzebie nie przekazał pamięci nazwiska tego żołnierza, który

przynosząc ten rozkaz, przedzierał się przez linię bojową wśród ulewy kul karabinowych i pocisków armatnich, z których każdy pogwizdem swoim przypominał śmierć bladą i zimną w polu mogiłę!

Żołnierz ten, to wzór cnót wojskowych, to prawdziwy wielki, choć cichy i skromny, a dla nas bezimienny bohater! Cześć mu!

Odwrót oddziału porucznika Monderera odbywał się na Szydłowiec także wśród gradu kul i w ogniu artylerji rosyjskiej, ostrzeliwującej to miasteczko, gdzie saperzy austriacy wysadzili wieżę kościelną w powietrze, jako niby rosyjski punkt obserwacyjny!

Do obserwacji wieża ta służyć nie mogła, bo w Szydłowcu były wojska austriackie; po ich ustąpieniu zaś przy krótkim dniu późnej jesieni, wśród mgły, snującej się ponad ziemią również wieża kościelna nie mogła służyć do obserwacji; ale wydano wyrok jej zagłady i rozsypała się w gruzy!

Gdy porucznik Menderer po stracie jednego żołnierza zabitego i 13 rannych zgłosił się do dowódcy pułku, ten ucieszył się i zdziwił zarazem, gdyż, jak mówił, nie miał żadnej nadziei zobaczenia oficera i jego żołnierzy.

Gdy pułk nasz, dążąc do Korzeniowej woli, zbliżył się do skraju lasu, nacisk nieprzyjacielskiej kawalerji był tak silny, że bateria lekkich dział musiała pośpiesznie je zatoczyć na miejscu i ogniem działowym spędzić oddziały rosyjskie.

Czwarty bataljon był w pochodzie wzdłuż toru kolejowego, ale tak on jak i cały pułk, cofający się ku lasowi musiał bezustannie odcinać się coraz natrętniej następującemu nieprzyjacielowi, który teraz na pościg wyprawił liczne sotnie kozackie, niepokojąc nas ze wszystkich stron.

Pochód był w tych warunkach truźny i uciążliwy; nasz pułk chronił odwrót całej grupy wojsk, każdy oddział naszego pułku chronił znowu odwrót większych własnych

oddziałów i tak postępowali nasi żołnierze krok za krokiem, często przystając dla sformowania linii obronnej i powstrzymania nacisku nieprzyjacielskiego.

Tem zajmował się głównie Menderer, obecnie kapitan naszego pułku, który kilkakrotnie zwracał swój oddział ku nieprzyjacielowi i paraliżował jego pościg.

Chwilami kawalerja dodana do naszej grupy spełniała te zadanie, ale w pochodzie mieliśmy mimo tych wysiłków ciągle towarzystwo naszych prześladowców, a na wszystkie drogi, któremi podążaliśmy, przez Lipowe Pole ku Rejowu padały granaty, a nad głowami naszych żołnierzy pękały szrapnele.

Najcięższy odwrót miał IV baon, zdążający wzdłuż toru kolejowego. Ścigany na tej samej drodze przez rosyjską piechotę, niepokoiony z boku przez oddziały kawaleryjskie, gdy dobił do lasu szedł na przełaj błotnistymi ostępami, brnął przez wody wśród dojmującego zimna i wiatru, niosącego tchnienie zbliżającej się zimy.

Gdy wreszcie las ów przebył, wpadł pod ogień piechoty, karabinów maszynowych i dział rosyjskich. Szczególniej dwa plutony 15 kompanji dostały się w ogień flankowy—a w końcu otoczyły je silne oddziały kawalerji i zabrały do niewoli, z wyjątkiem dowódcy i 7 żołnierzy, którym wymknąć się udało.

Dopiero z nastaniem ciemności nacisk nieprzyjacielski sfołgował.

Wieczorem zbliżyła się grupa naszych wojsk do rzeki Kamiennej;—jednak wszystkie mosty były już zniszczone—i nasze oddziały musiały przebyć ją w bród, poczem dostały się do Rejowa, gdzie znalazły półgodzinny spoczynek.

Tu połączyły się nasze wojska z oddziałami podpułkownika Madziary i udały się stąd do Suchedniowa, ale, gdy ta miejscowość nie przedstawiała warunków obronnych, posunięto się do Ostojowa.

W tym samym czasie półtora bataljona 31 p. obrony

krajowej pod dowództwem kapitana Sponnera—został rozbity pod Wielką Wsią i w bezprzykładnym popłochu rozsypał się ten oddział na wszystkie strony. Nieprzyjacielskie kolumny, mając otwartą już drogę, przeprawiły się w kilku miejscach przez Kamienną i znowu zagrażały naszej grupie otoczeniem, gdyż posuwały się w południowo-zachodnim kierunku. Wobec tego pułkownik Pöschek zamiast ku granicy galicyjskiej na Łagów i Staszów — skierował swoje oddziały ku Kielcom.

W tym czasie armja rosyjska po rozbiciu brygady generała Zaremby pod Satanowem, korpusu generała Kelczwaręgo, wojsk generała Brudermanna i Aufenberga oraz po zajęciu Lwowa — szła w zwycięskim pochodzie na zachód, otoczywszy ufortyfikowany Przemyśl pierścieniem oblężniczym!

Na zachodnim froncie armja niemiecka, która z niesłychanym impetem już we wrześniu 1914-go r. wpała w okolice Paryża, musiała również się cofnąć pod naporem bohaterskich, a gorącą miłością Ojczyzny przejętych francuskich wojsk republikańskich!

Tak skończył się prolog tej wielkiej tragedji dziejowej, która miała świat załewać potokami krwi ludzkiej przez cztery lata jeszcze, zanim runęły Rosja, Austria i Niemcy zupełnie rozgromione, zanim ponad gruzami zwalonych tronów Romanowych, Habsburgów i Hohenzellernów wznosił się ideał sprawiedliwości dla wszystkich narodów tej ziemi!

CZEŚĆ II.

ROK 1915.

Niepowodzenia państw centralnych na wszystkich frontach we Francji, w Serbji i w Polsce, towarzyszące ich armjom mimo wszelkich wysiłków od początku wojny i przez cały rok 1914, pokonały dowodnie rząd berliński i wiedeński, że pokonanie koalicji nie jest rzeczą tak łatwą, jak się to zdawało przed rozpoczęciem kroków wojennych.

Państwa centralne łudziły się i doznawały zawodów w wielu kierunkach. Przedewszystkiem sądzono w Berlinie i w Wiedniu, że wojna rozegra się tylko z Serbją, z Francją i z Rosją, nie przypuszczano, że także Angja, najpotężniejsze mocarstwo na świecie, również wystąpi zbrojnie przeciw Niemcom i Austrii, a nie przypuszczano dlatego, bo Anglja, mimo swojej potęgi, nie miała armji lądowej! Przypuszczano także, że Włochy wspólnie z armją niemiecką i austryjacką wystąpią przeciw Francji i Rosji — a wreszcie liczone z całą pewnością na to, że naród Polski zerwie się do walki z Rosją i temsamem stanie po stronie państw centralnych!

Te wszystkie przypuszczenia i nadzieje zawiodły; An-

glja w pięć dni po wypowiedzeniu wojny Rosji i Francji wypowiedziała wojnę państwom centralnym, Włochy oświadczyły początkowo swą neutralność; ale nie ulegało żadnej już wówczas wątpliwości, że na tem stanowisku nie pozostaną i że w krótkim czasie zaliczą się do nieprzyjaciół państw centralnych; naród Polski, gnębiony przez Niemców, nie myślał o swoim współudziale w wojnie po ich stronie.

Zawiedli się więc Niemcy, zawiodła się Austria na głównych pozycjach swego rachunku, ale prócz tego zawiodły się te państwa i na innych obliczeniach. Duchem monarchicznym przepojone, były pewne, że Rzeczpospolita Francuska, niemająca monarchy, któryby z jednej strony był wyrazicielem państwa i narodu a z drugiej samodzielnym wodzem całej armji, że ta Rzeczpospolita, którą rządzą wybrani przez naród ludzie, nie zdoła utrzymać armji obywatelskiej w posłuchu i dyscyplinie, w takim napięciu energii, jakiego wymaga wojna i w takiej jedności ducha, któraby wykluczała rozproszenie. Co do Francji więc liczono napewno, że jeśli nie po pierwszym, to po drugim impetycznem uderzeniu złamie się jej siła, obywatelska armja się rozpieczęnie i kraj francuski stanie Niemcom otworem!

Tymczasem i tu spotkały się państwa niemieckie ze srogim zawodem — Rzeczpospolita francuska nie złożyła majestatu swojej potęgi, swoich wolności i swego honoru w ręce jednego człowieka — monarchy; ale majestat ten nosił każdy obywatel Rzeczypospolitej w swej duszy — zaczęł też i obywatelska armja francuska, najgorętszym przejęta patriotyzmem, w obronie Ojczyzny i w imię jej miłości trwała na swem stanowisku; gdy potrzeba tego było, szeregi jej szły w ogień na śmierć niechybną, inne wstępowały w ich miejsce, a gdy te krwią swoją okupiły wolność ziemi francuskiej, — znowu nowe szeregi obywatelskiej armji pojawiały się na polach bitew, z wrytem w sercach ich hasłem: „zwyciężyć lub zginąć!”

Myślano w Wiedniu i Berlinie, że Francja wyczerpie wreszcie materiał ludzki — i istotnie wyczerpywała go; ale cóż to znaczyło wobec patriotyzmu narodu francuskiego: do szeregów szły dobrowolnie dzieci,—chłopcy piętnastoletni i spełniali swój wobec Ojczyzny obowiązek i ginęli, jak na bohaterów przystało!

Co do Rosji liczyły państwa centralne na to, że wyposażenie techniczne jej armji jest marne, kierownictwo niedołążne, a żołnierz, ciemny, nieuświadomiony należyście, nie przedstawia żadnej poważnej siły militarnej.

Ale i w tym kierunku obliczenia państw centralnych były oparte na mylnych podstawach. Wyposażenie armji rosyjskiej i techniczne jej urządzenia były dobre, artylerja znakomita, żołnierz wytrzymały, karny, umiejący ginąć masowo, a główne dowództwo oraz dowództwa poszczególnych armji i korpusów—nienajgorzej przygotowane i wykształcone w nowoczesnej sztuce wojennej.

W ten sposób żadna z pozycji rachunku państw centralnych—nie dała wyników zgodnych z rzeczywistym stanem rzeczy, i dlatego początek wielkiej wojny światowej był dla Niemiec i Austrii tak bardzo niepomysłny, iż zdawało się, że wojna krótko trwać będzie. Co do jej ostatecznego wyniku, to można było przewidzieć, że będzie on dla Austrii i Niemiec fatalny.

Tak kończył się rok 1914. W Berlinie i Wiedniu może już żałowano rozpętania tej burzy, którą chciano jak najprędzej zażegnać, byle tylko zyskać choćby nie wiele, choć trochę, a głównie — uratować honor i stanowisko dwóch domów panujących, które niechybna czekała ruina na wypadek zadania klęski stanowczej państwom centralnym.

Powzięto więc zamiar, aby jakimś większem zwycięstwem przerazić nieprzyjaciół, by ich skłonić do ustępstw—i świat zadziwić; by tenże zechciał uznać Austrię i Niemcy za państwa niezwyciężone i wywarł nacisk na koalicję, by przecież poddała się swemu losowi.

Z rokiem 1915 rozpoczęto zatem nową grę krwawą na innych podstawach już opartą, grę, w której i nasz pułk wybitny brał udział.

POD GORLICAMI.

Od wypadków, rozegranych z końcem października 1914 r., pułk nasz brał udział w walkach pozycyjnych mniejszego znaczenia; dopiero z końcem kwietnia 1915 r. rozpoczęły się silniejsze ruchy wojsk na terenie galicyjskim. Pociąg za pociągiem zwoził transporty armji niemieckiej generała Mackensena, która miała przełamać wspólnie z armją austrijacką front wojsk rosyjskich, ciągnący się od stoku Karpat i środkowego biegu Dunajca, aż na północ poza Tarnów.

Początek maja był ciepły i pogodny. Jasne dni wiosenne, wyblękitnione, sprzyjały czynnościom oddziałów lotniczych, które — jakkolwiek ostrzeliwane, — mogły jednak czynić dokładne zdjęcia nieprzyjacielskich pozycji; drogi zaś i ścieżki, suche w czasie tej przepięknej pogody, ułatwiały zarówno przemarsze wojsk, jako też transporty dział i wszelkiego rodzaju materiałów wojennych; — przygotowywano więc z pośpiechem wszystko to, co służyć miało do osiągnięcia zamierzonego celu — to jest do przełamania linii rosyjskich, — przerwania koalicji i uzyskanie pokoju.

Pułk nasz, przeznaczony do Bystrzej, otrzymał tam wieczorem 26 kwietnia, rozkaz wejścia w kontakt z innymi związanymi pomiędzy sobą oddziałami, a mianowicie z VI korpusem, pod dowództwem generała Arza, który znowu miał kontakt z armją niemiecką pod dowództwem Mackensena.

Wieczorem dnia następnego, 27-go kwietnia, pułk nasz, wedle rozkazu, opuścił Bystrę, udając się na więcej wysunięte ku nieprzyjacielowi stanowisko, w Chodorowej; — Bystrę zaś zajęły oddziały niemieckie, którym, w myśl pole-

czenia dowództwa, pozostawiliśmy znajdujące się tam zapasy i materiały.

Owe zmiany pozycji i przesuwanie się wojsk odbywać się miały w najściślejszej tajemnicy, tak, aby ruchy te zupełnie ująć mogły uwadze przeciwnika. Wszelkie więc marsze, tak naszego pułku, jak i innych oddziałów odbywały się tylko nocą i to z zachowaniem jak największego spokoju. Gdyby zaś którykolwiek oddział nie zdołał w ciągu nocy dojść do miejsca swego przeznaczenia, miał stanąć tam, gdzie go brząsk dzienny zastanie i czekać, dopóki pod osłoną nocy, nie będzie mógł dalej się posunąć. Prócz tego, dla zmylenia orientacji nieprzyjaciela, wypuszczano codziennie ze stacji Grybów transporty ku etapom, które następnie w nocy znowu do Grybowa przywożono.

Były to jeszcze w Austrii wcale dobre czasy. O świcie przybyliśmy do Chodorowej i pozostaliśmy tam do 30 kwietnia, otrzymując przez czas tego postoju dobre i obfite pożywienie. Wolny ten czas zużytkowano na uporządkowanie mundurów i broni, uzupełnienie amunicji oraz zapasów żywnościowych, a zresztą poszczególne kompanje i plutony odbywały ćwiczenia.

Wieczorem 30 kwietnia odszedł I i III bataljon naszego pułku do Wilczysk, IV bataljon i 9. marszowy do Jeżewa. Przy tych zarządzeniach dowiedzieliśmy się, że ogólny atak uplanowany jest na dzień 5 maja; potwierdzały to transporty wojsk niemieckich, idące noc po nocy z pociągami i ogromną ilością materiałów wojennych, armat i amunicji, podczas gdy niemieccy lotnicy w dzień rozwijali ogromnie ożywioną czynność.

Mimo zachowania wszelkich środków ostrożności przecież nieprzyjaciel przejrzał zamiary połączonych armji niemiecko-austrijskich; — może nieco zapóźno, ale zrozumiał je dokładnie, co wynikało z tego, że sprowadził znaczne posiłki piechoty, a swoje ciężkie działa, dla których i tak

nie doszła amunicja, począł demontować i ściągać z pozycji.

Ta okoliczność, sprawdzona przez lotników, spowodowała przesunięcie terminu ogólnego ataku z dnia 5 na dzień 2 maja 1915 r.

Oddział saperów przy naszym pułku, pod dowództwem porucznika Kisiela, otrzymał rozkaz przygotowania stanowisk do ataku w ciągu dwóch nocy z 30-go kwietnia na 1 maja.

Pomimo to, że piechota nieprzyjacielska, artylerja i karabiny maszynowe rżęsiłymi strzałami przeszkadzały tej robocie, dokonano jej wedle dyspozycji i w oznaczonym czasie, przyczem nieustraszoną odwagą odznaczył się plutonowy tego oddziału — Wojnicki.

Ugrupowanie sił zbrojnych niemiecko - austriackich miało być zupełnie wykończone do 2-iej po południu dnia 2 maja, wobec czego odmarsz pułku naszego do Łużny nastąpił wieczorem 1 maja. Po południu tegoż dnia zagrzmiały działa, skierowane na stanowiska nieprzyjacielskie, które wybudowano już z początkiem roku, wedle wszelkich prawideł sztuki wojennej, w formie piętrowej pod powierzchnią ziemi i zaopatrzone we wszelkie możliwe przeszkody, a w miejscach strategicznie ważniejszych rozszerzono nawet do siedmiu rzędów oszańcowań, chroniących także skrzydła każdej pozycji.

Nasz pułk i inne oddziały piechoty miały zadanie wykorzystać przejście, zbudowane przez oddział saperów, dojść do sieci drutów kolczastych i otworzyć przez nie drogę do wejścia w szanice nieprzyjacielskie; artylerja zaś strzałami, oddawanymi w powolnem tempie, miała spełnienie tego zadania ułatwić; w przerwach zaś pomiędzy jednym strzałem a drugim, saperzy i żołnierze piechoty mieli posuwać się coraz bliżej oszańcowań rosyjskich, przecinając ową sieć drutów.

Armaty grały od 2-ej godziny w nocy; rosyjska artylerja odpowiadała zrzadka i słabo. Śnać oszczędzano resztek amunicji; natomiast ogień ręcznej broni trwał prawie nieprzerwanie i dopiero ze świtem ucichł. Tymczasem całe ugrupowanie wojsk do ataku było przygotowane!

Części naszego pułku stanowiły rezerwę dywizji; I bataljon marszowy stał w dolinie potoku na południe od góry Pustki; III i IV bataljon poza 23 brygadą piechoty przed górą zwaną Wiatrówką, a 56 i 100 p. p. przed Pustką—eksponowano na pierwszy ogień.

O godzinie 6 rano odezwał się ryk armat wszelkiego kalibru na całym wyciągniętym, długim froncie bojowym. Był to po raz pierwszy w tej wojnie zastosowany, ogień ogromnej ilości dział: ziemia drżała w posadach, pociski armatnie, wyjąc, warcząc i jęcząc, darły powietrze, jakby ścigając się wzajem w szatańskim rozpętaniu.

Tak przemawiały połączone na śmierć i życie dwa państwa germańskie, w nadziei, że świat przerazi się tym rykiem dział, warkotem i jękiem pocisków, tą muzyką piekielną, wygrywającą sarabandę zniszczenia i poda rękę do zgody.

Ale świat, związek państw koalicji, przyjął huragan ten ze spokojem; echa gorlickiej kanonady zdawały się nie czynić żadnego wrażenia: nie ulękła się jej ani Francja, ani Anglja, ani Włochy wreszcie, które, w trzy tygodnie potem, oddały pierwsze strzały armatnie przeciw znenawidzonej Austrii.

Huraganowy ogień trwał nieprzerwanie przez 4 godziny: szańce rosyjskie pokryły kłęby dymu, chmury wyrzuconej w powietrze ziemi i tumany kurzu; a poza tymi szańcami płonęły liczne wsie dookoła!

Pod wrażeniem zniszczenia, jakie siał ten ogień działowy, zdawało się, że w szańcach rosyjskich, zasypanych lawiną pękających granatów, nic już istnieć nie mogło.

Nieprzyjacielska artylerja z początku odpowiadała czasami, lecz wkrótce umilkła zupełnie, zda się wedle planu, który wspólnie pomiędzy Berlinem a Petersburgiem został ułożony, i dopiero, gdy około 10 rano ogień artylerji niemiecko-austryjackiej stłogował, a wojska ruszyły do ataku—ozwało się echo kilku strzałów armatnich artylerji rosyjskiej.

Żołnierz rosyjski, spotkawszy się po raz pierwszy z huraganem działowego ognia uległ demoralizacji, tem naturalniejszej, że wiedział, iż owej sile dział, którą miał przed sobą, nic zgoła przeciwstawić nie może. Wymykał się więc z gruzów swoich szanców i szedł do dalszych ufortyfikowanych linii, które znowu artylerja niemiecka i austriacka zasypywała niezliczoną ilością śmiercionośnych pocisków.

Zaraz po godzinie 10 rano, na drodze wiodącej z Łużna do Staszkówki, pojawiły się już całe rosyjskie bataljony, wzięte do niewoli—i inne ścigane przez oddziały niemieckie, lub austriackie.

Mimo to armja rosyjska nie ustąpiła w całości ze swych stanowisk; broniła się rozpaczliwie, co mogliśmy ocenić w odcinku koło Pustek, gdzie nasz pułk atakował.

O tej porze otrzymały nasze bataljony rozkaz wyruszenie do ataku. W szeregach dostaliśmy się do poprzednich naszych stanowisk szturmowych, gdzie musieliśmy przejść w ogniu, krótkotrwałym, ale celnym połowej artylerji rosyjskiej.

Nasz atak popierała baterja dział połowych, która szrapnelami zasypywała przestrzeń atakowaną przez nas; pociski jej padały tak gęsto, że, chcąc uniknąć niechybnej zguby, musiały nasze oddziały postępować bardzo wolno. Mimo to nie obeszło się bez strat, zadanych przez tę właśnie baterję.

Gdy wreszcie oba bataljony naszego pułku dotarły do szańców nieprzyjacielskich, przedstawił im się widok pełen grozy: wszędzie zwłoki zabitych, mnóstwo ciężko rannych, jęk i rozpaczliwe wołanie pomocy, krew i szczątki ludzkie. W promieniu eksplozji jednego ciężkiego granatu leżało 25 zabitych rosyjskich żołnierzy.

Z niektórych szczegółów można było wnosić, że ataku w szańcach rosyjskich nie oczekiwano wcale: zastaliśmy w oficerskiej celce podziemnej zwłoki jej mieszkańca z twarzą, do połowy ogoloną; w innej zabitego oficera przy stole, na którym było śniadanie i niedopita filiżanka herbaty.

Na tem uroczysku nie zatrzymaliśmy się jednak dłużej; rozkaz posuwał nas naprzód i znów znaleźliśmy się w odległości około 140 kroków przed nową linią nieprzyjacielską.

Bataljon rozwinął się w tyraljerę, z jedną kompanją karabinów maszynowych. Padła komenda „naprzód”. Z brawurą rzucił się bataljon na nieprzyjacielskie szańce, ale z poza nich znowu zagrzmiały działa. Granaty wżarły się w ruchomą masę ludzką, pozostawiając pustkę za sobą; pokotem kładły się szeregi całe, a z ziemi, krwią oblanej, podnosiły się jęki rannych i ostatnie rżenia konających.

Wtedy to zaczęły się odrywać poszczególne oddziały—i niezawodnie byłby atak spełził na niczem, gdyby dzielny plutonowy Piotr Kamysz nie był porwał ich przykładem swego bohaterstwa.

Także sierżant Woda zrozumiał niepewne położenie naszych bataljonów—i mimo rozkazu wydanego rezerwie, aby została na miejscu—przemawia do swoich podkomendnych, zachęca ich, sam przyświeca przykładem i jego oddział za nim idzie do ataku. Nieprzyjaciel opuścił wtedy szańce—i cofnął się na dalszą linię pod lasem, a Woda skierował tam ogień karabinów maszynowych.

Oddział rosyjski spostrzegł się jednak i rzucił do kontrataku. Zawrzała walka na bagnety, podczas której nasze oddziały zasypane zostały ręcznymi granatami; ogień karabinowy z prawego skrzydła stał się dla nas bardzo niebezpiecznym. Była chwila, w której zdawało się, że nasze bataljony, spotkawszy się w tem miejscu z przeważającą siłą, muszą uleść; ale sierżant Woda ratuje sytuację: dwukrotnie raniony w głowę, kieruje karabinem maszynowym, — rzuca setki kul w szeregi nieprzyjacielskie, kosi je, jak źdźbła trawy i wreszcie zmusza do cofnięcia. Sto trupów rosyjskich zostało na polu tego spotkania, 2 oficerów i 60 żołnierzy wzięto do niewoli; stoki Wiatrówki zostały w rękach naszego pułku.

Podczas tego III bataljon atakował wzgórze Pustki od strony zachodniej. Pierwszą pozycję rosyjską opanowano natychmiast, druga jednak zawzięty i zdecydowany stawiała opór; mimo to i ona padła pod naporem „tarnowskich dzieci“, a trębacz Józef Curyła, który zagrał na swej trąbce sygnał do ataku, wkrótce otrąbił zdobycie tej drugiej linii obronnej.

W lesie Kamieniec usiłują bezskutecznie Niemcy zdobyć rosyjskie pozycje; gdy im się nie powiodło, wyrzuciły ich w tem oddziały naszego pułku, pomimo bardzo zawziętej obrony. Tam też odznaczyli się jednoroczny ochotnik Romuald Buba, plutonowy Michał Zdeb i kapral Ludwik Dzień, którzy pierwsi z I bataljonem wdarli się do nieprzyjacielskich okopów, zostawiwszy poza sobą kadeta-aspiranta Rottenberga, zabitego kulą karabinową.

Z nastaniem wieczoru las był w rękach naszego pułku. Rosjanie cofnęli się w kierunku Moszczenicy, odstrzelując się ścigającym ich oddziałom.

Pułk nasz pozostał na miejscu w rosyjskich szańcach, oczywiście w zupełnem pogotowiu wojennem, gdy około 10 wieczór nakazano nam zająć Moszczenicę. Ruszyliśmy tedy do wskazanego miejsca, gdzie otrzymaliśmy rozkaz

powrócenia na miejsce, z któregośmy przyszli. Tak więc po niezmiernych całodziennych trudach odbył nasz pułk przechadzkę do Moszczenicy i z powrotem, z tym jedynie pożytkiem, iż sprawdziliśmy, że Rosjanie cofnęli się na północny wschód od Moszczenicy do przygotowanych tam dla nich szańców obronnych.

W bitwie tej połączone armje niemiecko-austrjackie cofnęły front obronnych linii rosyjskich długości 60 klm. na 4 klm. w głąb, przyczem około 20.000 żołnierzy rosyjskich dostało się do niewoli—i zdobyto 15 dział, 50 karabinów maszynowych, oraz wielką ilość wszelkiego materiału wojennego.

POD BIECZEM.

W nocy z 2 na 3 maja nieprzyjaciel opróżnił dobrowolnie swoje stanowiska na wzgórzach, położonych w stronie północno-wschodniej od Moszczenicy.

Dnia 3 maja o godzinie 6 rano otrzymał pułk nasz rozkaz pochodu naprzód. Przybywszy do Moszczenicy, zajęliśmy stanowiska opuszczone przez oddziały rosyjskie, gdzie znaleźliśmy znaczną ilość zapasów żywnościowych: chleba, słoniny, cukru i konserw mięsnych, co już wówczas dla naszych żołnierzy stanowiło łup wojenny bardzo pożądanym.

W dalszym pochodzie zajął z łatwością po krótkiej walce nasz III i IV bataljon stanowiska rosyjskiej straży tylnej pod Sietnicą, a wieczorem bataljon marszowy pod dowództwem pułkownika Hippla wraz z drugą kompanją pod dowództwem porucznika Monderera—zbliżył się do Bugaju, skąd Rosjanie cofnęli się zaraz po zapadnięciu zmierzchu.

Tej nocy podejmowaliśmy demonstracyjne wypad

atakowe naprzód i na lewo, co nam przyniosło ten pożytek, iż dowiedzieliśmy się, co nieprzyjaciel w najbliższych godzinach uczynić zamierza.

Rosjanie, jakkolwiek pozostawali jeszcze pod wrażeniem poniesionej klęski w dniu poprzednim, byli przecież przekonani, że ofenzywa wojsk austriackich i niemieckich stanęła; wskutek tego przysposabiali się do zaatakowania nas przy użyciu większych sił piechoty i jazdy.

W wielkim łuku pozycyjnym, wygiętym ku południowemu-zachodowi, który to łuk stanowił pewnego rodzaju przyczółek mostowy dla miasta Jasła, znaleźliśmy w oddaleniu 12 do 15 klm. główne stanowiska rosyjskie.

Z brzaskiem dnia, otrzymawszy przez oddziały wywiadowcze odnośne sprawozdania — ruszyliśmy przez lasy, z których wyparty nieprzyjaciel w rozbitych grupach uchodził przed nami na Biecz.

Przy tych starciach wielu Rosjan dostało się do niewoli; znać było po nich zniechęcenie i brak wiary w celowość dalszego oporu.

Straciwszy po drodze kadeta Rothsteina, który znalazł śmierć w czasie odstrzeliwania się uchodzących oddziałów rosyjskich, znaleźliśmy się znowu na wzgórzach położonych w stronie północno-wschodniej od Biecza. Tu nieprzyjacielska artylerja, goniąca resztkami amunicji wprawdzie, przyjęła nas jednak rześystym ogniem.

Nasz pułk ugrupował się do ataku—I. i III. bataljon po prawej a IV. i bataljon marszowy po lewej stronie drogi. W chwilę później I. i III. bataljon znalazł się u zbiegu dróg i przeszedł kolo folwarku Nafta Br. przez most przerzucony przez rzekę Ropę, pod ogniem nieprzyjacielskim, który nam zadał ciężkie straty.

Niektóre oddziały naszych bataljonów, wymijając promień nieprzyjacielskiego ognia, przeszły wbród rzekę, o 80 cm. głębokości w tem miejscu.

Celem ataku dla I bataljonu było wzgórze 306, dla III wzgórze 332.

Pierwsza kompania pod dowództwem Jana Adamka, wówczas porucznika, silnie natarła na nieprzyjaciela, odpierając trzykrotnie jego przeciwności, i zajęła wzgórze 306 właśnie w tej najstosowniejszej chwili, która poprzedziła nadejście rosyjskich posiłków. Tym sposobem mały ten oddział umożliwił swemu bataljonowi wypełnienie trudnego zadania, tem trudniejszego, że trafiliśmy w tem miejscu na zacięty opór, podsycany, zdaje się, nadzieją nadejścia spodziewanej pomocy. W tym wypadku decydowała chwila, moment jeden, gdyż los tego epizodu zależał w zupełności od tego, czy bataljony naszego pułku, czy też rosyjskie wojska zjawią się pierwsi na owym wzgórzu. Około 4 po południu kompania rezerwowego bataljonu, pod dowództwem podporucznika Menderera, ruszyła do ataku drogą wiodącą do Głęboki. Na wysokości Grudny Kempskiej, wzięta ze skrzydła pod ogień artylerji rosyjskiej, dopiero o 7 wieczorem przybyła na miejsce jej naznaczone.

Atak III bataljonu, rozpoczęty od Kunowy na wzgórzu 332, nie powiódł się. Tu także atakujące szeregi dostały się we flankowy ogień rosyjski—i może nawet byłyby się rozsypały, gdyby nie wzorowe zachowanie się plutonowego Piotra Kamysza, który przykładem własnej odwagi i porwijącym słowem zażegnał popłoch tak, że bataljon okopał się w oczach nieprzyjaciela i usadowił się w pobliżu jego stanowisk.

Grupa północna, utworzona z kompanji 9. bataljonu marszowego i IV. bataljonu miała naznaczony punkt wyjścia z północnego skraju miasteczka Biecza od budynku sądowego; trzy kompanje tej grupy rozciągnęły się w tyraljery i otwały ogień na nieprzyjaciela, podczas gdy kompanja kapitana Wolfa pozostała przy budynku sądowym w rezerwie.

Rosjanie tarasowo obsadzili wzgórze i przygotowali siłę rezerwową, celem wykonania przeciwataku.

Pułkownik Hippel, dowodzący tą grupą, skierował 2 plutony rezerwy do linii bojowej. Ówczesny plutonowy, jednoroczny ochotnik Kempski wykonał ten rozkaz, jako dowódca tego oddziału. Po dłuższej wymianie strzałów karabinowych jedna kompanja naszego pułku przeszła do ataku na to wzgórze, z którego równocześnie ruszyły szeregi rosyjskiej piechoty. Zderzenie nastąpiło na wysokości Przedmieścia. Impet Rosjan w tej walce na bagnety zachwiały nasze szeregi, liczebnie znacznie słabsze, które też cofnęły się o jakie 200 kroków, a sformowały front na nowo, odrzuciły nieprzyjaciela, niezdolnego do wstrzymania impetu „dzieci tarnowskich“. W tej chwili jednak artylerja austriacka, ustawiona przy miejscowości „Nadmiastem“ zwanej, otworzyła rażny ogień na nasze oddziały!

Własne granaty siały śmierć i spustoszenie w naszych szeregach. Padł śmiertelnie ranny kapitan Schmiedler, padli zabici podchorążowie Sulma, Orzech, Wawra i wielu dzielnych naszych podoficerów i żołnierzy. Tym sposobem nasza grupa zmuszona została do cofnięcia się, a że odwrót ten—z pod sfery własnych strzałów armatnich—odbywał się w bardzo silnym ogniu karabinowym i karabinów maszynowych ze strony nieprzyjaciela, przeto nic dziwnego, że powstało zamieszanie, podczas którego dwa plutony naszego pułku dostały się do niewoli rosyjskiej.

Popłoch jednak nie trwał długo; na prawem brzegu potoku Ropy sformował jednoroczny ochotnik, plutonowy Kempski z własnej inicjatywy oddział, złożony z kilku ludzi—i otworzył silny ogień na nieprzyjaciela, a równocześnie zażądał posiłków. Wysłany przez niego żołnierz nie zdołał dojść do wskazanego dowództwa, lecz oddał pismo Kempskiego kapitanowi Wallekowi, dowódcy I bataljonu,

który Kempskiemu pomocy w ludziach wprawdzie nie udzielił, lecz dostał mu nieco amunicji.

I znowu bataljony naszego pułku poszły do ataku, zdobywając wzgórze, z którego przed chwilą przed rosyjską przewagą ustąpić musiały!—Ten dziwny taniec śmierci powtarzał się kilkakrotnie z tym skutkiem, że, mimo bardzo chwilami krytycznego położenia, wytrwaliśmy.

W pewnym momencie tych zmagania plutonowy Kempski zbiera swoich żołnierzy, i, okrążywszy nieprzyjaciela, uderza z lewego skrzydła, wypiera go z domów i bierze 110 żołnierzy rosyjskich do niewoli.

W końcu bataljon marszowy obsadza to krwawe wzgórze na stałe.

Nieprzyjaciel zachwiał się wówczas na stanowiskach po obu stronach drogi, a gdy rozpoczął odwrót, dokonywał go z trudem, ścigany naszym ogniem karabinowym; wnet jednak sformował nowy front.

W nocy odwołano nasz bataljon marszowy, który, przeszedłszy w bród Ropę, odszedł w kierunku Kunowy; a natomiast I. i IV. bataljon zbliżyły się do stanowisk nieprzyjacielskich, by swoją obecnością sparaliżować dalsze jego ruchy i zapobiedz ponownemu zaatakowaniu zdobytej przez nas pozycji.

Podczas tej nocy często przychodziło do starć pomiędzy patrolującymi oddziałami; istotnie Rosjanie pokusili się o odebranie wzgórza, ale bezskutecznie. Podczas tych zmagania zginął, pchnięty bagnetem, kapitan naszego pułku Ignacy Duhan.

Wczesnym rankiem 5 maja nieprzyjaciel opróżnił wszystkie swoje stanowiska na tym odcinku, aż do wzgórza 332.

Jedna kompanja naszego pułku pod dowództwem kapitana Wolfa doszła tego poranku do ubezpieczonych stanowisk rosyjskich straży tylnej i wzięła je wstępny atakiem, używając łopat jako broni. Żołnierz rosyjski był

już tak zniechęcony, że tylko słaby stawiał opór i z rezygnacją pozwalał zabierać się do niewoli.

Trzeci bataljon doszedł do północnego skraju wsi Kunowy; bataljon marszowy zajął domy, zgrupowane w odległości 1000 kroków od kościoła w Grudnie Kempskiej; a oba miały za zadanie powstrzymać atak rosyjski, gdyby nieprzyjaciel, rozporządzający w tej stronie przeważającą siłą, zechciał się o to pokusić.

POD ODRZYKONIEM.

Rzecz jasna, że po niepowodzeniach armji rosyjskiej w tym odcinku, na którym nasz pułk operował, i na całej linii frontu, upadł duch w wojsku rosyjskiem. Niemożność oparcia się naciskowi wojsk austriacko-niemieckich, brak ku temu odpowiednich środków, i wyczerpująca się amunicja, wszystko to pozbawiało żołnierza rosyjskiego wiary w zwycięstwo!

Tem tłumaczy się owa rezygnacja, z jaką tysiące żołnierzy szły w niewolę. Trzecia armja generała Boreowica zagarnęła ich 12000; dywizja generała Emmicha 4.500, a słaby szwadron węgierskich jeźdźców, niemogący mieć pretensji do uznania za swe zachowanie się wobec nieprzyjaciela, zdołał dnia 8 maja bez wysiłku wyprzeć kawaleryjską załogę z miasteczka Krosna, przez to samo zająć i dla innych oddziałów zabezpieczyć przeprawę przez Wisłok. W Krośnie znaleźliśmy wiele materiałów sanitarnych i znaczne zapasy żywnościowe; zaczęliśmy też łącznie z wojskami niemieckimi zajęliśmy wschodni brzeg Wisłoka i wzgórze nad nim panujące, bardzo ważne pod względem strategicznym. W czasie naszego pochodu do Odrzykoniu, znaleźliśmy 9 armat i 21 jaszczyków z amunicją, które Rosjanie porzucili, nie mogąc ich zabrać ze sobą. Załoga rosyjska w Odrzykoniu poddała się nam, nie próbując na-

wet oporu, ale wzgórze, na którym są ruiny zamkowe,—jeden z najstarszych i najpiękniejszych zabytków w Polsce, pozostało w rękach rosyjskich. Widocznie Rosjanie trafnie oceniali znaczenie utrzymania tej pozycji, przynajmniej do tej chwili, dopóki ich pociągi nie znajdą się poza Sanem.

Naszemu pułkowi przypadło właśnie zadanie zajęcia wzgórza zamkowego w ciągu nocy i umocnienia się na niem.

Gdy się już dobrze ściemniło, wyszedł plutonowy Stefan Duda z oddziałem, złożonym z 15 ludzi z 12 kompanji, na wywiady. Wielka ciemność i bardzo gęsta mgła przewalająca się tuż przy ziemi, znacznie utrudniała wypełnienie zadań, poruczonych temu oddziałowi.

W tych niepomysłnych warunkach patrol naszego pułku podszedł bardzo blisko pod stanowiska przeciwnika który, rozpoznawszy położenie skierował, nań bardzo silny ogień karabinów maszynowych; nadto gwardja rosyjska rozłokowana tuż przed naszym oddziałem, obecnością swoją i gotowością do akcji, wykluczała niemal zupełnie wszelką możność poruszenia się, choćby nawet w odwrotnym kierunku.

Tymczasem ów dzielny podoficer pułku naszego, Stefan Duda, postanowił bądź co bądź zmienić swoją pozycję—i powziął plan, pod względem taktycznym wyśmienity, polegający na tem, aby nieprzyjaciela z innej strony zająć niespodzianie i zaatakować.

Przedsięwzięcie tyle trudne, ile śmiałe, ale w razie powodzenia rozstrzygające kwestję opanowania wzgórza zamkowego na naszą korzyść. Podczas gdy karabiny maszynowe nieprzyjacielskie bezprzestannie miotały tysiące pocisków w tym kierunku, gdzie znajdował się nasz oddział, Duda ze swoimi ludźmi czołgał się niepostrzeżenie po stoku wzgórza, okrążając rosyjską załogę — a gdy znalazł się na jej tyłach i otworzył bardzo silny i szybki ogień—

taki zamęt wywołało to w załodze rosyjskiej, że po krótkiej chwili opuściła swoje stanowiska i poddała się.

Reszta pułku naszego, która potem nadciągnęła, miała już tylko zadanie przetransportowania 2.000 żołnierzy rosyjskich wziętych do niewoli i zdobytego w znacznej ilości materiału wojennego.

Bohaterem tej nocy i zwycięzcą był niewątpliwie Stefan Duda, który mógł się nadto poszczycić tem, że w całej tej bardzo trudnej potrzebie wyszedł zupełnie bez szwanku i cały oddział zdrowo przyprowadził.

Wzgórze zamkowe zostało zajęte przez nasz pułk i 56 pp. Zupełna ciemność uniemożliwiła należyte utrzymanie związku pomiędzy poszczególnymi oddziałami, co spowodowało, że pomiędzy naszym, a 56 pp. powstała luka na pewnej przestrzeni. Gdy pułk nasz umocnił swe stanowiska, światło dzienne przybieliło kłęby gęstej mgły wilgotnej, które wkrótce zaróżowiły się od promieni wschodzącego słońca. „Dzieci tarnowskie“ — żołnierze naszego pułku—byli w wyśmienitem usposobieniu: wiara iść chciała naprzód, by w swoje ojczyste przedostać się strony.

Chorąży Jakób Zielnik, jako oficer łącznikowy z 24 brygadą piechoty, spełniwszy jakieś poruczone mu zadanie, z własnej inicjatywy zajął się rozpoznaniem położenia i przy tej sposobności stwierdził, że na nasz pułk sunie poważna siła nieprzyjacielska, która ma nasze skrzydła zaatakować.

Tą wiadomością chorąży Zielnik oddał pułkowi wielką przysługę: umożliwił dość wczesne przygotowanie do oparcia się nieprzyjacielowi.

Ale mimo tego nie uniknęły wojska austriackie niemiłej niespodzianki. Złote snopy promieni wiosennego słońca odniosły zwycięstwo nad mrokiem nocy i nad tumanami mgły, która pod ich działaniem rozplynęła się w przestworzach podniebnych; a z chwilą, gdy przezrocza powietrzna pozwoliła nam widzieć szeroką przestrzeń, przekonał się, że nasza pozycja na wzgórzu zamkowym

jest ze wszech stron jaknajdokładniej otoczona przez nieprzyjacielskie wojsko.

W chwilę potem oddział rosyjski wdarł się do naszych stanowisk i zabrał kilkunastu żołnierzy do niewoli.

Ogień artylerji nieprzyjacielskiej, skierowany na nas, nie wyrządził nam znaczniejszych szkód; natomiast austriacka artylerja, niby własna, siała spustoszenie w naszych szeregach. Powstało istne piekło: pułk nasz, ostrzeliwany z ręcznej broni i z dział rosyjskich, zasypywany pociskami armat austriackich, zdawał się być przeznaczony na zupełną zagładę, gdy wtem na dobitek i 56 pp. otworzył nań gwałtowny ogień karabinowy.

W tych okolicznościach istotnie tylko poświęcenie jednostki mogło nas uratować. Tym szlachetnym i pełnym poświęcenia towarzyszem broni był plutonowy Franciszek Michalik z 16. kompanji. On, pomimo gradu kul, poszedł do linii 56. pułku piechoty, poszedł i, szczęśliwie dostawszy się tam, powstrzymał morderczy ogień skierowany na nas.

Drugi bohater—Józef Zaremba, kapral 14. kompanji, brawurą i poświęceniem się z 6 tylko żołnierzami wstrzymał atak nieprzyjacielski na nasze skrzydło i uwolnił więtych do niewoli towarzyszy, co trzech żołnierzy przypłaciło życiem.

Porucznik Jan Adamek, jako dowódca 1 kompanji, wziął skutecznie pod ogień swego oddziału pędzącą na pozycję artylerję rosyjską, czem uniemożliwił jej zajęcie stanowisk.

W tym czasie nadciągnęły siły austriackie i niemieckie z zewnątrz na okrążający nas pierścień rosyjski. Przybyła odsiecz i położenie uległo zmianie na naszą korzyść, Rosjanie cofnęli się, zwycięstwo zostało przy nas.

Austriacki generał Kestranek przyznał, że sukces dnia tego zawdzięcza jedynie bohaterskiemu duchowi pułku ziemi tarnowskiej.

POD WYSOCKIEM.

Początek wielkiej ofensywy austro-niemieckiej, znany powszechnie pod mianem bitwy pod Gorlicami, był zarazem początkiem istotnej katastrofy, która spotkała armję rosyjską.

Pierwsze uderzenia wypchnęły ją z zajętych stanowisk, a gdy próby oporu, chwilami nawet bardzo zacięte i istotnie ofiarne, na nic się nie przydały, dowództwo rosyjskie zwijało front bojowy na pierwszej linii, przenosząc go na najbliższą, widocznie w nadziei, że uda mu się ofensywę powstrzymać i zapobiedz przełamaniu swego frontu.

Pod nieustannem naciskiem, cofając się z miejsca na miejsce, coraz dalej ku wschodnim granicom byłej Galicji, spodziewała się może carska armja, że gdzieś po drodze znajdzie przecież posiłki w ludziach, w amunicji, w działach i w materiale wojennym, które Rosja jej nadał.

Ale te nadzieje zawieść miały. Droga odwrotu i chwilowe postoje tu i owdzie nie zmieniły położenia na lepsze.

Armja rosyjska, tocząc się w odwrocie ku wschodowi, w trzy tygodnie po rozpoczęciu austro-niemieckiej ofensywy znalazła się w okolicach Jarosławia, dokąd i nasz pułk, idący za nią w pościgu, nadążył dnia 22 maja 1915 r.

W Jarosławiu skoncentrowały się nasze bataljony, celem chwilowego wypoczynku wraz z 10. marszowym bataljonem i dowódcami kompanji, należących do jego składu, a mianowicie z kapitanem Adolfem Glogerem, Rudolfem Seinkowiczem, Fryderykiem Beklem i Romanem Lachowiczem, oraz z porucznikiem Juljanem Benediktem.

Po dwudniowym wypoczynku, dnia 24 maja, o godzinie 4 rano, wyszedł nasz pułk, jako rezerwa dywizji ku wsi Witlinowi, gdzie miało nastąpić spotkanie. W pochodzie za Jarosławiem mijał nasz pułk 30½ centymetrowe

działo w chwili właśnie, gdy z jego gardzieli wypadł pocisk i, wzbijając się w powietrze, napełnił je jęklivym wy-ciem, co naszych żołnierzy pobudziło do wesołości.

Obok przysiółka Zgody nad brzegiem Sanu, w ścię-nionych szeregach, przeszły bataljony naszego pułku i zna-lazły tam dłuższy spoczynek. Potem przez most kolejowy, na-prędce sklecony, przyszedł 20. pp. i zajął nasze miejsce, pod-czas gdy nasz pułk poszedł znowu na jego miejsce, jako re-zerwa brygady.

Tu już spotykaliśmy po drodze leżących żołnierzy 3. pp., którym odniesione rany nie pozwalały ruszyć się z miejsca. Z Witlina słychać było powtarzające się sal-wy karabinowe piechoty rosyjskiej. Zbliżając się do pola bitwy, spotkaliśmy kompanje 3 pp., której kapitan, na zapy-tanie, jakie w dniu tym poniósł straty, odpowiedział: „żad-ne, tylko 23 ludzi padło od pocisków własnej (austriackiej) artylerji”.

To strzelanie z dział do wojsk własnych było u arty-lerji austriackiej jakby nałogowe; powtarzało się bowiem przy każdym spotkaniu z nieprzyjacielem, w każdej bitwie niemal i w każdej potyczce.

W dalszym naszym pochodzie zjawił się w pułku jego dowódca, pułkownik Karol Pöschek, który odtąd to-warzyszył już żołnierzom. Z położenia w tym odcinku bardzo był zadowolony; narzekał tylko, że mgła utrudniała artylerji rozwinięcie akcji w całej pełni.

Gdy zbliżyliśmy się do folwarku w Wysocku, przy-szedł telefoniczny rozkaz majora sztabu dywizyjnego Ger-by, nakazujący naszemu pułkowi natychmiastowe zaatako-wanie nieprzyjaciela. Pułkownik Pöschek, biegły w swojej sztuce, a dbały o swych podwładnych, wręcz odmówił te-mu żądaniu — i powiedział, że żadnego ataku nie przed-sięwzięmie bez przygotowania artyleryjskiego; wskutek tego odłożono w dowództwie dywizyjnem atak do następnego

ranka; zaczętem też nasz pułk na tym folwarku, nie rozbijając namiotów, rozłokował się na noc.

W nocy spadł lekki deszcz majowy. Przy tym deszczu, próbował zaatakować nas jeden bataljon rosyjski, postępujący od strony Dunkowic; ale nasze oddziały, noc tę w pogotowiu spędzające, odparły nieprzyjaciela, odebrawszy mu ochotę do przedłużania powziętych zamiarów.

W tej akcji musiała wziąć udział także 15 kompanja kapitana Seinkowicza, jednakże zanim przyszła na nią kolej otwarcia ognia, nieprzyjaciel już ustąpił.

Pułkownik Pöschek spędził noc w chacie, należącej prawdopodobnie do folwarku, ale czujnie, gdyż się nawet nie rozbierał i sam przesłuchiwał rosyjskich zbiegów, którzy na pytanie, dlaczego sprzeniewierzyli się wojskowej przysiędze i opuścili swoje chorągwie—odpowiedzieli zgodnie, że ośmiodniowe trudy wojenne znosili o głodzie, gdyż zarząd ich armji nie dostarczył im odpowiedniej żywności, wskutek czego wojsko jest zniechęcone i do akcji zupełnie niezdolne.

Ranek 25 maja zastał pułk nasz w ugrupowaniu takim, w jakim spędził minioną noc. Na przodzie stał kapitan Merten z półbataljonem; po obu stronach budynków folwarcznych, już na pagórku, stał kapitan Wallek także z półbataljonem; wreszcie na prawem skrzydle—półbataljon pod dowództwem kapitana Seinkowicza, poza którego pozycją była już dolina Sanu, porosła łożą. Cały front naszego pułku, zwrócony ku wschodowi, miał tę korzyść, iż częściowo okrywały go budynki folwarczne, stojące na tym pagórku.

Sztab pułkowy stał w oddaleniu od naszej linii bojowej o jakie 100 kroków, w chacie, gdzie w jednej i jedynej izbie był także telefon, łączący sztab nasz z dowództwem 24. brygady piechoty.

Równocześnie z brzaskiem dnia kompanja kapitana

Beckla została przeznaczona jako rezerwa. O godzinie 4 rano otrzymał kapitan Seinkowicz rozkaz obsadzenia szczytu pagórka, podczas gdy w tym samym czasie oddziały kapitana Swolby i Benedykta cofnęły się przed przeważającą siłą nieprzyjacielską

Z mgły porannej, w odległości 600 do 800 kroków, ukazały się ściętnione szeregi rosyjskich piechurów. W zamkniętych kolumnach, wśród gradu kul, jak na rewji, równym, miarowym krokiem, w baranich czapkach, szli ci mieszkańcy Kaukazu zimni i spokojni, co wywarło na nas wielkie wrażenie.

Na pagórku, gdzie mieliśmy swoje stanowiska, były z poprzednich bitew pokopane różne doły. W jednym z nich sierżant Woda ulokował się ze swoim karabinem maszynowym. Nieco wstecz od nas, na prawo stał 10 pułk honwedów oparty swoim lewym skrzydłem o drogę wiodącą z Duńkowic do Zgody. Po lewej stronie naszego pułku przestrzeń, w głębi widnokrzęgu zamkniętą drzewami, obsadził 3 pp, który przysłał nam oddział karabinów maszynowych.

Kule karabinowe przenosiły nasz pagórek, a ku nam szła piechota nieprzyjacielska, wyciągnięta w długi szereg. Po obu stronach zatrudnieni byli sanitariusze, znoszący rannych na miejsce zaopatrzenia; ale ów deszcz ołowiu, w tym kierunku padający gęsto, niezmiernie utrudniał im spełnianie samarytańskiej czynności.

Nagle od strony, gdzie stał kapitan Wallek ze swoim oddziałem uderzył w niebo przeciągły okrzyk: „hurra“! To Rosjanie rzucili się do ataku. Chwila boju ręcznego i oddział austriacki ze stanowiska wyparł, ale utrzymać się tam nie zdołali; rażeni ogniem karabinowym z obu skrzydeł—musieli się cofnąć.

Tam też padł kapitan Wallek, otrzymawszy postrzał w szyję.

W tym czasie słońce ozłociło tę nieszczęsną ziemię, krwią obluzganą; mgła zaczęła się rozplwać, a z chwilą

gdy powietrze stało się przejrzystsze, rozpoczęły grać armaty swoją symfonię zniszczenia.

Na nasz pagórek poczęły padać granaty; nad ziemią jęczały i pękały szrapnele coraz częściej. Artylerja austriacka odstrzeliwała się, a ta wymiana pocisków uniemożliwiła Rosjanom wykonanie ataku.

Tymczasem szczyt naszego pagórka był ściśle wzięty pod ogień armatni, wskutek czego musieliśmy stamtąd cofnąć nasze rezerwy i miejsce to opróżnić. To bicie granatami trwało blisko godzinę i było przygotowaniem ogólnego ataku, którego jednak nieprzyjaciel nie próbował wykonać, zmiarkowawszy, że ma przed sobą do przebycia otwartą jak stół przestrzeń, na której musiałby wielu żołnierzy pogrzebać.

Nasze oddziały, które okopały się na lewo po obu stronach drogi, wzięła artylerja austriacka, jak zwykle pod ogień swych armat, zadając im ciężkie straty; do piero telefonicznie zawiadomiona o tem, że niszczy własnych żołnierzy, skierowała w inną stronę wyloty swoich armat.

Pułkownik Pöschek dwukrotnie zjawił się na linii bojowej nieprzyjaciel zaś w dalszym ciągu rozpoczął niezmiernie silny ogień artyleryjski, wprawdzie z dział małego kalibru, bo do ciężkich brak mu było amunicji, niemniej jednak szkodliwy.

Około 6 rano adjutant pułkownika, towarzyszący mu na linii bojowej, otrzymał wiadomość, że telefon dzwoni w owej izbie, służącej za kwaterę; chciał tam wrócić, ale pułkownik kazał mu pozostać, oznajmiając, że sam się rozmówi z dowództwem brygady. Udał się więc do tej izby, ale zaledwie ujął słuchawkę w rękę—szrapnel, przebiwszy cienką ścianę, pękł wewnątrz izby; 32 kul szrapnelowych ugrzęzło w piersi pułkownika, który padł, trzymając słuchawkę w ręku.

Kapitan Merten objął dowództwo pułku, a kapitan Seinkowicz dowództwo 4-go bataljonu.

W chwilę po śmierci pułkownika, pociski armatnie zapaliły zabudowania folwarczne, a na wolnej przestrzeni ukazały się znów oddziały rosyjskie, atakujące tym razem lasek, zajęty przez 3 p. p. Obok tych oddziałów postępował rosyjski piechur, niosąc z humorem karabin maszynowy na swoich barkach.

Brawurowy ten atak, wykonany pod ogniem karabinowym, nie mógł nieprzyjacielowi przynieść żadnej korzyści z tego powodu, iż wykonał go siłą stanowczo niewystarczającą do utrzymania zdobytej pozycji. Rosjanie cofnęli się, ale we wzorowym porządku: żołnierze w szeregach naprzód: czterech oficerów za nimi, szli podobnie jak tamci Kaukazczycy, miarowym krokiem, spokojni, niby podczas defilady, bez zmrużenia powiek, pomimo, że, wymierzone ku nim, gruchotały karabiny i karabiny maszynowe.

Przez chwilę wszystkie kule ich omijały, jakby śmierć oszczędzić chciała tych mężnych żołnierzy, którzy mogli być wzorem bohaterstwa na polu bitwy; ale karabiny maszynowe klekotały bezlitośnie, rzucając strumienie kul w ich stronę.

Naraz runął jeden z szeregu, za chwilę drugi wznosił ręce ku niebu, i zwałił się na murawę, znowu trzeci, czwarty, dziesiąty — śmierć mściła się na nich za ten krótki czas swego podziwu nad ich walecznością, za tę pogardę jej okazaną; mściła się, ale oni szli dalej miarowym krokiem...

Dowództwo 3 p.p. zawiadomiło wówczas kapitana Seinkowicza, że rozpoczynamy przeciwatak, domagając się, by kapitan ze swym bataljonem wziął udział w tem przedsięwzięciu.

Kapitan Seinkowicz doniósł o tem dowództwu III. baonu, który też — nie troszcząc się zupełnie o swoje prawe skrzydło — sam zaraz ruszył do ataku; dowództwo nad naszym pułkiem objął chwilowo pułkownik 3 p.p.

Wskutek ruszenia się III bataljonu i przejścia do akcji powstała pomiędzy III. a IV. bataljonem luka, którą koniecz- nie i jaknajprędzej wypełnić należało; zaczęli też i IV. bata- ljon musiał nieco pozycję swoją zmienić, przesuając się półobrotem na prawo, by w ten sposób utrzymać kontakt z sąsiednim oddziałem.

Kompanja honwedów, która miała spełnić to zadanie, przez zajęcie lewego skrzydła — nie stawiała się na miejscu. Czwarty bataljon, gdy wykonał posunięcie, spotkał się z nieprzyjacielskim ogniem karabinowym, słabym wpraw- dzie, ale za to niezwykle celnym; to jednak nie przeszkod- ziło mu w pochodzie, dopóki szeregi tego bataljonu nie osiągnęły celu i nie znalazły się na wysokości stanowiska 5 kompanji.

W tym czasie artylerja austryjaska wymieniała strzały z rosyjską, ale nie omieszkała, przy tem oddać dwóch, czy trzech strzałów—wedle swego zwyczaju — na nasze szeregi, Ponieważ bataljon jeszcze nie nadciągnął, musiał IV bataljon znowu powstrzymać pochód; w tej chwili przybył chorąży III bataljonu z żądaniem pomocy, gdyż z prawego skrzydła, o którego zabezpieczenie nikt się nie zatroszczy — groził mu nieprzyjaciel okrążeniem.

Nie było chwili do stracenia. IV. bataljon ruszył na- przód i spotkał się z ogniem karabinowym, otworzonym z poza wału naprzeciw, i z ogniem karabinu maszynowego z prawej strony od drogi, prowadzącej do Dudkowic.

Nieobecność honwedów i tu dała się odczuć. Kapitan Seinkovic musiał z kolei znowu zabezpieczyć swoje prawe skrzydło i pod ogniem nieprzyjacielskich karabinów maszy- nowych kazać okopać się swemu bataljonowi.

Artylerja austryjaska ostrzeliwała obwałowanie Sanu w mniemaniu, że ogień karabinowy, z tego miejsca na nas skierowany, był przyczyną powstrzymania dalszego pochodu.

Około 30 żołnierzy rosyjskich z karabinem maszy- nowym zjawilo się na wale z podniesionymi w górę rękami

mi, dając nam znaki, byśmy się zbliżyli i zabrali ich do niewoli.

Znając ich podstępny wojenne, nie daliśmy się wziąć na fundusz; wobec tego oni zeszli z wału, a nasi żołnierze nie wyrządzili im szkody, gdyż wśród ryku armat nie dosłyszeli ostrzeliwania tego oddziału.

Po chwili ten sam oddział rosyjski pojawił się przed oddziałami 3 p. p., którego patrole istotnie go zabrały — a wówczas karabin maszynowy od drogi do Duńkowic bardzo silnie ostrzeliwał tych żołnierzy i prowadzące ich patrole—jednak bezskutecznie.

Gdy następnie ów karabin maszynowy znowu zaczął bić na nasz IV. bataljon, doszliśmy do przeświadczenia, że musi być umieszczony na drzewie, stojącym obok domu przy tej drodze; w rzeczywistości jednak karabin maszynowy ukryty był na strzecie tego domu. Tam więc nasze prawe skrzydło skierowało ogień karabinowy, ale bezskutecznie; dopiero później bataljon skrzydłowy dostał się do owego domu i wziął do niewoli oddział rosyjski wraz z karabinem maszynowym.

Następnie rozpoczęliśmy pochód ku Duńkowcom, dowiedziawszy się po drodze dokładnie o siłach nieprzyjacielskich, jakie mamy przed sobą.

Tak znaleźliśmy się na dużym pastwisku wsi Grobelki, zamkniętym ścianą lasu. Nieprzyjaciel z lasu tego rozpoczął ogień karabinowy, tym razem nieszkodliwy: kule świergotały, ale wysoko ponad naszymi głowami. Na tem pastwisku okopaliśmy się; kompanja porucznika Benedykta wysunięta naprzód okopała się w pewnej odległości przed linią naszego pułku. Noc zapadła. Pod jej osłoną nieprzyjaciel przypuścił atak i wyparł z okopów kompanję porucznika Benedykta, która, cofając się do swego pułku, dostała się w krzyżowy ogień wojsk austriackich i rosyjskich.

W tym samym czasie, gdy te wypadki rozgrywały się w okolicach Jarosławia, powstał nowy front włoski, na

którym zagrzmiały działa, a strzały ich bolesnym echem odbijały się o mury Wiednia i Berlina, gdzie okłamywana ulica wierzyła w zwycięstwo i w zakucie całego świata w kajdany niewoli; ale w sferach rządzących wiedziano, że, mimo zwycięstw odniesionych nad Rosją, jest źle i będzie jeszcze gorzej.

BRZEŚĆ LITEWSKI.

Po bitwie pod Wysockiem toczył się dalej odwrót rosyjskiej armji ku wschodnim granicom byłej Galicji, a chociaż armja ta zatrzymywała się tu i ówdzie, stawiając opór następującym za nią oddziałom austriackim i niemieckim,—to jednak nie mogło to już wyrzeć żadnego wpływu na beznadziejne położenie carskich wojsk.

Z kolei, po krótkiej obronie, padł Przemyśl, zdobyty dzięki ogromnej ilości ofiar życia ludzkiego niespełna w trzy miesiące przed opisanymi wypadkami. Po Przemyślu padł Lwów, którym władali Rosjanie od 3 września 1914 r.; dopiero na wschód od Lwowa, pod Zadwórzem ofenzywa austro-niemiecka utknęła. Tu armja rosyjska, okopawszy się—zatrzymała dalszy pochód niemiecki, a walczyła z takim uporem, z taką zawziętością i z takim bohaterstwem, że zdołała—mimo wszelkich wysiłków przeciwnika—wytrwać na tym stanowisku prawie dwa lata.

Nasz pułk w tych zmaganiach na terenie byłej Galicji nie brał już żadnego udziału. Rozkazy dowództwa austriackiego skierowały go ku północy i przeznaczyły, obok innych wojsk—do zdobycia ufortyfikowanego Brześcia Litewskiego.

Dnia 24-go sierpnia 1915 r. wzięły wojska austriackie bez wielkiego wysiłku przednie linje rosyjskie pod Dobrynem, skąd oddziały rosyjskie cofnęły się w obręb fortów.

Bataljony naszego pułku zajęły front na zachód od Brześcia Litewskiego i przypuściły atak do fortu VII, prze-

ciw któremu działały także wojska niemieckie, a z drugiej strony 20 p. p. austrijackiej.

Przez noc na 25 sierpnia podsunęły się nasze linie aż do nieprzyjacielskich sieci kolczastych drutów, przy czem zginął kapitan Lachowicz.

Z brzaskiem dnia artylerja austrijacka skierowała ogień dział na fort VII, przygotowując drogę do ataku dla piechoty. W szeregach naszego pułku objawiać się zaczęła niecierpliwość: żołnierze nasi chcieli jak najprędzej spełnić poruczone im zadanie i nie mogli ustać na miejscu. Na kwadrans przed rozpoczęciem ogólnego ataku jeden pluton, pod wodzą podchorążego Chwistka, ruszył naprzód i już miał wdrzeć się do fortu, gdy sławna ze swych czynów artylerja austrijacka przeszkodziła temu, ziejąc swoim zwyczajem ogniem na ten oddział. Dopiero po chwili artylerja skierowała swoje strzały więcej ku wschodowi, do fortu wdarł się pierwszy podchorąży Chwistek ze swoim plutonem.

Na prawem skrzydle naszego pułku wdzierał się do fortu bataljon majora Hory—i po krótkiej walce z załogą rosyjską, zdobył tę pozycję.

Pewien czas upłynął, zanim urządzono połączenie telefoniczne z austriacką komendą, i zanim można jej było donieść o sukcesie, odniesionym przez „dzieci tarnowskie”, a tymczasem artylerja austriacka rzuciła znowu na fort już obsadzony przez nas, 4 ciężkie granaty, które na szczęście żadnego z naszych dzielnych żołnierzy nie pozbawiły życia.

Szczęśliwszy był 20 pułk. Wszedł do zdobytego przez nas fortu bez trudu, bez ofiar, ba, nawet nie narażając się na żadne zgoła niebezpieczeństwo; ale za to wszedł z gotowem niemal urządzeniem telefonicznem, z czego skorzystał polujący na odznaczenia, podpułkownik Hoffmann, który natychmiast doniósł dowództwu, że zdobył fort Nr. VII i jest już w jego posiadaniu.

Dowództwo brygady, otrzymawszy tę wiadomość, prze-

słało ją dalej wyższemu znowu dowództwu i tym sposobem podpułkownik Hoffmann, niezastąpiony, ale szczęśliwy, stał się bohaterem dnia, przyjął łaskawie na swój rachunek to, co spełnili oficerowie i żołnierze naszego pułku — i natychmiast otrzymał order Leopolda.

Na tem mu najwięcej zależało i osiągnął to, do czego wzdychał.

Dowcipnie określił powód odznaczenia podpułkownika Hoffmanna kapitan Wolf, który powiedział, że Hoffmann otrzymał odznaczenie za: „Opowieści Hoffmanna”.

Dowództwo naszego pułku przesłało dowództwu brygady dokładne sprawozdanie o zdobyciu fortu Nr. VII, którego jednak brygada nie przesłała wyższym władzom, nie chcąc stwierdzić tym sposobem, że trzymała się trochę za daleko od terenu walki i sama nie znała jej szczegółów.

Rosjanie opuścili swoje stanowiska i cofnęli się za Bug, wysadzając za sobą most kolejowy w powietrze i paląc mosty drogowe. Zasługą sierżanta sztabowego Wojnickiego było, że ta przerwa w komunikacji nie trwała długo. Przedewszystkiem postarał się on o to, że zbudowano jak najprędzej prom, który posłużył do przeprawy pociągów na drugi brzeg Bugu, podczas gdy również przezeń zestawione oddziały pionierskie przerzuciły prawie równocześnie przez rzekę tymczasowe mosty, po których mogły przejść oddziały naszego pułku.

Już dnia 26 sierpnia wszedł pierwszy kapitan Menderer ze swoją kompanją w ulicę płonącego miasta i nawiązał kontakt z niemieckim wojskiem, obsadził kolejowy dworzec towarowy, poczem oddziały naszego pułku zajęły forty III, IX i X.

POD SAPOWĄ.

Pułk nasz, jako dywizyjna rezerwa, biwakował w Pe-likowcach starych. Rankiem 17 października zaalarmo-

wano nas i przyszedł rozkaz wymarszu na Sapowę. Gdy mijaliśmy Kujdanów, gdzie ulokowane było dowództwo dywizji honwedów, która odcinek Sapowy obsadziła, spotkał nasze oddziały jakiś sztabowy oficer węgierski, który oznajmił nam, że już wszelkie niebezpieczeństwo minęło, albowiem nieprzyjaciel został znowu odrzucony.

Stanowiska pod Sapową obsadziła dywizja honwedów w ten sposób, że w pobliżu tej miejscowości rozłożono I brygadę honwedów pod dowództwem podpułkownika Jovanowića, a punkt oparcia na płaskowzgórzu 382 zajął major Horwat z węgierskim bataljonem.

Noc z 16 na 17 października była niezwykle mglista, a szanice tak słabo obsadzone, że pojedynczy żołnierze stali w nich oddaleni od siebie o 6 do 8 kroków.

Okolo 2 w nocy major Horwat obszedł stanowiska swego oddziału, nakazując czujność, gdyż nieprzyjaciel zamierza atakować. Później przyszedł rozkaz posunięcia się w lewym kierunku z bronią, tak, żeby załoga szaniców była zwarta. Rozkaz ten, z ust do ust powtórzony, spowodował ruch odpowiedni w szanicach honwedów, a w tej właśnie chwili, korzystając z nieprzenikliwej mgły, większe siły rosyjskie, przedarłszy się przez sześciokrotną przeszkodę z drutów kolczastych, schwytały do niewoli całą brygadę pułkownika Jovanovica—tak, że tylko sam sztab z 2½ kompanjami pułków, należących do różnych brygad zdołał uratować się ucieczką.

Tym sposobem powstała bardzo niebezpieczna luka, którą natychmiast wypełnić należało, co okolo 9 rano powiodło się istotnie jednemu z węgierskich bataljonów. Ten bardzo gwałtownym natarciem zajął utracone poprzednio pozycje i to dało właśnie powód owemu sztabowcowi węgierskiemu do oznajmienia nam, że już niebezpieczeństwo zażegnane. Wkrótce jednak karta znowu odwrócić się miała.

Z dowództwa 68 korpusu, który pozostał pod dowódz-

twem generała Arta, przysłano natychmiast samochodem komisję śledczą. Przybył podpułkownik sztabu generalnego i major audytor, ale, w chwili gdy przybyli, Rosjanie właśnie nowy przypuścili atak i nasz pułk wkraczał do akcji, wobec czego komisja owa uznała za stosowne wycofać się z tej awantury i powróciła, skąd przyjechała.

W międzyczasie cały nasz pułk zgromadził się był w Sapowej i obsadził wiejską drogę. Sztab pułku stał na końcu wsi w pobliżu kaplicy, znajdującej się w północnej stronie. Na tej samej drodze stały konie tyrolskiego oddziału strzelców konnych i plutonów karabinów maszynowych.

Kule karabinowe brzęczały jak pszczoły na wyroju; mimo tego poczęto rozdawać jadło z kuchni polowych. Gdy przyszedł rozkaz wymarszu do bitwy, ci szczęśliwi, którzy żywność otrzymali, szli naprzód, jedząc pośpiesznie; ci zaś, którzy nie mieli czasu otrzymać jada, szli o głódzie, ale z humorem.

Gdy pułk zbliżał się do rozstaju przy kaplicy, wstrzymano pochód a kapitan Seinković, powołany do dowódcy pułku, otrzymał rozkaz zaatakowania płaskowzgórza 382 go z kompanją 15. i 16. pod dowództwem poruczników Muszyńskiego i Zamkowskiego.

O położeniu objaśnił pułkownik Seinkovića wedle jakiejś bardzo ścięsnionej mapy i dopiero na wyraźne żądanie kapitana — dał mu odnośne objaśnienia na terenie. Wówczas nominalnym dowódcą naszego pułku był pułkownik Strancki, komendant pułku telegrafów polowych, w rzeczywistości dowództwo spoczywało w ręku Teodora Albrechta, podpułkownika dodanego przez Komendę korpusową do pomocy Stranckiemu.

Półbataljon kapitana Seinkovića był w trakcie rozwinięcia się do ataku na skraju wsi, gdy pułkownik, nie czekając na to, zakomenderował: „naprzód”.

Pochód nie sprawiony nastąpił w tej chwili—15 kom-

panja, znajdująca się po prawej stronie, szła w ściśnionym szeregu, gdyż nie miała jeszcze czasu rozwinąć się, 16 zaś jeszcze była w kolumnach. Oczywiście, że w tym szyku niepodobna było zaatakować nieprzyjaciela, wskutek czego kapitan Seinković, uszedłszy ze 100 kroków, zatrzymał swój oddział, by mu umożliwić sprawienie szyku bojowego.

Rosyjska bateria polowa zasypywała pociskami nizinę blisko kaplicy w północno-wschodniej stronie,

W chwili, gdy się formowały oddziały kapitana Seinkov'ca, nadjechał automobilem jakiś oficer kawalerji z generalnego sztabu, domagając się natychmiastowego zaatakowanie pozycji 382, albowiem Rosjanie poza nią przedrzeć się mogą.

Kapitan Seinkowic, mając już w swym oddziale sprawiony szyk bojowy, przemówił do swych podkomendnych i ruszył naprzód, a za jego przykładem poszły szeregi jego żołnierzy.

W drodze spotkał ten oddział honwedów, umykających jak zające, zaś lewe nasze skrzydło natknęło się na Tyrolczyków, cofających się we wzgędnym porządku, którzy sformowali na nowo front i odstrzeliwując się, wycofali się z walki.

Koło cmentarza spotkał kapitan Kampf tyrolski oddział karabinów maszynowych, który właśnie opróżniał swoje stanowisko. Kampf kazał wytrwać do ostatniego naboju, wskutek czego posypał się grad kul na atakujące oddziały rosyjskie, najwyżej o 300 kroków oddalone, przez co pochód ich został wstrzymany i tem samem zapobiegło się uprzedzeniu ich w zajęciu stanowisk, które pułk „dzieci tarnowskich” miał obsadzić.

W tym czasie oddziały karabinów maszynowych należących do naszego pułku, przeniósłszy je okryte płachtami namiotowemi, ustawiły się na cmentarzu, a gdy i z tej

strony otworzyły silny ogień, nieprzyjaciel został odparty i cofnął się w kierunku wzgórza 382.

Kapitan Seinković, prowadząc prawe skrzydło swego półbataljonu ścieżką, wiodącą od Sapowy, natknął się po wschodniej stronie wzgórza 382 na wgłębienie w ziemi, które wziął za nieprzyjacielskie szańce, jednak bliższe rozpatrzenie tego wgłębienia przekonało nas, że tam ukryty siedział cały bataljon honwedów, który wśród wrzącej bitwy bał się nawet uciekać.

Kapitan Seinković, nawiązawszy w tej chwili kontakt z dowództwem tego bataljonu, zażądał, ażeby bataljon natychmiast wsparł jego oddział w ataku, na co otrzymał odpowiedź odmowną z tej niby przyczyny, że howedzi byli przeznaczeni do zajęcia wzgórza 382 po jego zdobyciu. Nawianna ta wymówka stwierdziła aż nadto jasno, że bohaterscy Węgrzy woleli siedzieć jak borsuki w jamie, aniżeli narażać się na spotkanie z nieprzyjacielem.

Półbataljon pod dowództwem kapitana Seinkowicza obsadził ścieżkę wiodącą do Sapowy i prawem skrzydłem dwór w Dobropolu na południe od wzgórza 382. Pułkownik Albrecht informował się telefonicznie u kapitana o położeniu i wydał rozkaz cofnięcia się poza stanowiska owego bataljonu honwedów.

W tym czasie zapadł zmierzch — noc nastąpiła ciemna i znowu telefoniczny rozkaz dowództwa posunął nasz oddział przed kryjówkę honwedów, a adjutant pułkowy kapitan Swilba doniósł przy tej sposobności dowódcy półbataljonu, że na lewym akrzydle jest 2 kilometrowa nieobsadzona przestrzeń, która oddziela grupę kapitana Seinkovića od kompanji kapitana Kampfa.

Wówczas kapitan Seinković zwrócił się o wypełnienie tej luki do stanowiska półbataljonu 20 p. p., jednak komendant tego oddziału odmówił, powołując się na to, że stoi jako rezerwa brygady, zaczem

też inicjatywa jego, dotycząca zmiany pozycji, jest niemożliwa.

W tej chwili pod dowództwem porucznika, któremu kapitan Scinković wydał rozkaz wypełnienia przerwy i nawiązania łączności z oddziałem kapitana Wolfa, nadszedł patrol honwedów. Porucznik, oznajmiwszy, że ma rozkaz zostania jako odwód, korzystając z ciemności, umknął wraz ze swym oddziałem.

Jak się później okazało, bohaterowie ci należeli do kompanji kapitana Estefaniego, która, dbając o swą wygodę, tak samo jak i jej dowódca, nie myślała zupełnie narażać się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Ta sławetna kompanja, będąc na linii bojowej, ustawiła broń w piramidy, a poprosiwszy sąsiedniej kompanji naszego pułku, by czuwała nad jej uzbrojeniem, udała się na spoczynek do owego bezpiecznego zagłębienia, a pan kapitan Estefani zszedł poprostu ze stanowiska i pojechał na noc do Sapowy.

W nocy 15 i 16 kompanja naszego pułku podsunęła się bliżej ku wzgórz 382 i dotarła aż do pierwszych szanów; prawe skrzydło leżało prawie u wzgórza, nawiązując łączność ze śpiącym oddziałem honwedów; dowództwo naszego półbataljonu musiało jedynie pozostać na ścieżce, gdyż brak drutów uniemożliwiało posunięcie naprzód stacji telefonicznej.

O brzasku dnia zaczęła grać z obu stron artylerja; austriacka ostrzeliwała wzgórze 382, nieprzyjacielska — nasze stanowiska na południowy wschód od tegoż. O godzinie 1 po południu otrzymaliśmy telefonicznie rozkaz ataku, co się jednak nie powiodło, głównie z powodu skrzydłowego ognia nieprzyjacielskiej artylerji oraz dlatego, że poza austriackim wojskiem, które, straciwszy poprzednio punkt oparcia, stało w wygiętej linii, nieprzyjaciel wysunął swoje pozycje.

Nieprzyjacielska piechota używała kul eksplodujących;

bataljon honwedów spoczywał bezczynnie w swoim zagłębieniu a ich oddział, sąsiadujący z nami bezpośrednio, zdobył się na to, iż naszą akcję atakową wspomagał strzałami karabinowemi.

Nieprzyjaciel uderzył przeciw oddziałom kapitana Kampfa 6 rzędami atakujących żołnierzy, jednak nie przełamał linii naszego pułku.

Ten stan trwał do nocy. Gdy nastąpiła ciemność, półbataljon kapitana Seinkovića, mając nieprzyjacielskie pozycje w odległości 100 kroków, cofnął się nieco. W ciągu nocy otrzymał kapitan Seinković rozkaz jakiegoś podpułkownika, dowodzącego rumuńskim pułkiem piechoty, aby posunął się do linii nieprzyjacielskiej na wysokość pozycji tegoż pułku. Kapitan Seinković zawiadomił o tym rozkazie pułkownika Stranckiego, który polecił zlekceważyć ten rozkaz, a jak się później okazało, ów pułk rumuński nie wyprzedził zupełnie linii naszego półbataljonu. Jego dowódca miał widocznie zamiar wysunąć nasz półbataljon na najniebezpieczniejsze stanowisko, w celu uniknięcia konieczności zetknięcia się z nieprzyjacielem przynajmniej w pierwszym ogniu.

Tymczasem w ciągu tej nocy półkompanji 16 pod porucznikiem Zamkowskim maszerowało do grupy kapitana Kampfa, druga jej połowa połączyła się z resztą grupy kapitana Seinkovića, o czym później dopiero się dowiedziano, gdyż przedtem nikt o tem dowódcy nie doniósł.

W południe 19 października jeden bataljon rumuńskiego pułku rozpoczął atak przeciw wzgórzu 383, przyczem jednak poniósł znaczne straty, które mu zadała nieprzyjacielska artylerja, stojąca przed Dobrodolem. Bataljonem tym dowodził... podporucznik!

W nocy nastąpiło ugrupowanie wojsk austriackich. W tym odcinku oddział kapitana Kampfa, półbataljon kapitana Seinkovića i domniemane oddziały honwedów na prawem naszym skrzydle — stanowiły jedną grupę pod do-

wództwem podpułkownika Paphaz'ego. W odcinku kapitana Seinkovića prócz półbataljonu naszego pułku był jeden bataljon owego rumuńskiego pułku, jedna kompanja pułku 20 i ci bohaterscy honwedzi pod dowództwem wygodnego kapitana Estefaniego.

Podpułkownik Paphazy walczył.. telefonicznie! Dbały o swoje zdrowie i życie — usadowił się zdala poza linjami podkomendnych wojsk i nawet we dnie nie wychylał nosa ze swej kryjówki.

Cos podobnego urządził sobie także ówczesny dowódca naszego pułku: kwatera jego była w jednym z domów w Sadowej, drut telefoniczny zastępował obecność dowódcy na linii bojowej; pułk zaś prowadził kapitan Hora, który odbierał telefoniczne rozkazy i zdawał relacje o położeniu. Tym sposobem nasze oddziały miały dwóch dowódców: telefonicznego i takiego, który był na linii bojowej.

Podpułkownik Paphazy otrzymał rozkaz ponowienia ataku 20 października. Artylerja miała go przygotować swym ogniem i przystąpiła do spełnienia swego zadania utartym zwyczajem, bijąc zawzięcie w nasze linje, w których, jak zwykle, nie było oficera artylerji, pełniącego służbę obserwacyjną.

Kapitan Hora przestrzegał telefonicznie kapitana Seinkovića przed atakiem bez upewnienia się, czy pójda w ogień i honwedzi, którzy mają szlachetny zwyczaj puszczenia innych wojsk do ataku, gdy tymczasem sami, bez pretensji do wawrzynów wojennych skromnie zostają w ukryciu. Następnie kapitan Seinković i kapitan Hora domagali się, niestety, bezskutecznie przysłania na linję oficera artylerji, który mógłby pełnić służbę obserwacyjną.

Tuż przed rozpoczęciem ataku kapitan Seinković oznajmił telefonicznie dowódcy grupy, że nieprzyjacielska artylerja w razie ataku weźmie atakujące wojska pod swój morderczy ogień ze skrzydła i postawił wniosek, aby odłożono atak do zmierzchu; w tej porze bowiem rosyjskie ba-

terje, oszczędzając amunicji, zamykają ogień, nie chcąc strzelać.

Mimo tej przestrogi atak się rozpoczął. Zaledwie tylko pierwszy oddział Rumunów wyruszył ze swych okopów, zagrzecotały nieprzyjacielskie karabiny i kulomioty i 20 martwych żołnierzy runęło na ziemię. Atak wstrzymano!

Artylerja austriacka poczęła znowu przygotowywać drogę do ataku — i znowu, jak zwykle, ostrzeliwać nasze stanowiska.

Pewien podchorąży z 4 bataljonu, który przedtem służył w artylerji, zaofiarował się objąć służbę obserwacyjną i udał się z tem do pułkownika artylerji; ten jednak odprawił go z niczem z tego rzekomo powodu, że nie miał dostatecznego materiału do urządzenia telefonu. Wówczas ów podchorąży skierował się do kwatery pułkowej w Sadowej, żeby przedstawić istotny, a tak groźny stan rzeczy. Tam jednak, celem uniknięcia pomyłek, zalecono, jak na ironję... urządzenie telefonu.

Tymczasem nieprzyjacielskie baterje z pod Dobropola... granatami ze skrzydła trzymały nasze wojska w szanцах, nie dopuszczając do ich opuszczenia — natomiast rosyjskie oddziały wyruszyły do przeciwwataku.

Gdy to spostrzegli honwedzi, ci sami, którzy w Sadowej tak walecznie zgładzili ze świata wszystkie kury i gęsi, natychmiast opuścili swoje stanowiska i poczęli uciekać tak szybko, iż każdy zając, uchodzący pogoni, mógł im serdecznie zazdrościć znakomitego wyrobienia.. nóg.

Tłum uciekających w popłochu honwedów porwał z 4 bataljonu naszego pułku, łączącego się z resztą naszych oddziałów, koło 10 ludzi wraz z dowódcą, który, wy dobywszy się z tego ścisku, powrócił natychmiast na swe stanowisko.

Honwedzi uciekli poza swój front... i nasze linje, tu zaś, czując się bezpieczni pod osłoną naszych pier si, zatrzymali się i postanowili dla swego własnego bez-

pieczeństwa wedle swego zwyczaju nie dopuścić do tego, byśmy się cofnęli; inaczej mówiąc, gdyby nas konieczność zmusiła do odwrotu, mieli zamiar zapędzić nas siłą napowrót przed nieprzyjaciela.

Odpędzali nawet pojedynczych naszych żołnierzy, idących po amunicję — a gdy dowódca tego odcinka posłał swego adjutanta do telefonu, wyszedł naprzeciw niego chorąży honwedów i oznajmił adjutantowi, że ma rozkaz zastrzelić każdego z naszego pułku, który powraca z linii.

Za tym chorążym stali z bagnietami na karabinach honwedzi, wrzeszczący przeraźliwie: „szturm“, wskazując zdala na okopy, w których walczył nasz pułk. Ich oficerów nie było widać, śnać pomknęli w popłochu jeszcze dalej!

Wreszcie i nasz pułk, prażony ogniem skrzydłowym nieprzyjacielskiej artylerji, począł się cofać aż do wgłębienia, gdzie, sformowawszy się na nowo, odparł nacierające oddziały rosyjskie.

Grupa kapitana Kampfa cofnęła się poza Strypę i doniosła, że ma poza sobą w lasach nieprzyjacielską jazdę. Wiadomość ta okazała się fałszywa, gdyż były tam tylko konie oddziału tyrolskiego.

Rosjanie między godziną 10 a 11 w nocy przypuścili atak ogniowy; cały efekt polegał na akustyce—było dużo huku, dużo łoskotu, co zupełnie wystarczyło rycerskim honwedom, którzy gnali naoslep przed siebie jak stado wystraszonych owiec!

Kapitan Seinković doniósł telefonicznie o tych wydarzeniach dowódcy pułku, jak również o tem, że artylerja austriacka, pozbawiona czucia z piechotą, nie mogła otoczyć linii nieprzyjacielskiej zamkniętym ogniem.

Porozumienie się telefoniczne trwało pewien czas. Dowództwo artylerji domagało się dokładnego oznaczenia wedle mapy miejsca, na które ogień ma być skierowany. Tymczasem cd komendy pułku przyszedł rozkaz

utrzymania odcinka za wszelką cenę, który to rozkaz kapitan Seinković podał do wiadomości swoim podkomendnym.

Żołnierze rosyjscy, osłonięci ciemnością nocy, zbliżali się niedostrzeżenie do naszych okopów i obrzucali nas granatami ręcznymi; równocześnie nieprzyjacielskie karabiny maszynowe silnie ostrzeliwały oddział 20 p. p., będący na naszym lewym skrzydle.

Na usilne żądanie kapitana Seinkovića przysłano z granatami ręcznymi oddział saperów, którzy obrzucili niemi stanowiska karabinów maszynowych i w ten sposób wywołali pewną ulgę dla 20 pułku. Naturalnie, w czasie tych zmagañ niepodobieństwem było nawiązać jakąkolwiek łączność z kompanją honwedów kapitana Estefaniego.

Po pewnym czasie kapitan Hora, jako dowódca pułku, dał rozkaz cofnięcia się na taką odległość, by projektowaną na dzień następny akcją artylerji przeciw linjom nieprzyjacielskim można było przeprowadzić bez przeszkód.

Wykonując ten rozkaz, cofnęliśmy się niedostrzeżeni przez Rosjan.

Dnia 21 października dowódcę Paphaz'ego zastąpił w dowództwie naszej grupy major Horvat.

O godzinie 6 rano przybył pułkownik Strancki, dowódca naszego pułku, tym razem osobiście aż do wielkiego wgłębienia i zastał tam ukrytych honwedów z oficerami, którym powiedział gorzkie słowa prawdy i wskazał na to, że żaden oficer ani żołnierz z naszego pułku nie zhańbił się korzystaniem z tej kryjówki.

Nieprzyjaciel zachowywał się spokojnie. Przed południem znalazł się nareszcie oficer artylerji do służby obserwacyjnej, który na pierwszy odgłos strzału karabinowego oświadczył stanowczo, że zdaleka lepiej widzi aniżeli zbliska — i znikł jakby go nigdy nie było!

Równocześnie w odcinku kapitana Seinkovića zjawiło

się dwóch oficerów artylerji, którzy usiłowali wytłumaczyć, że w czasie bitwy trudno uniknąć, by jakiś granat nie zabłąkał się do własnych linii—zwłaszcza jeżeli te biegną blisko linii nieprzyjacielskich.

Zresztą wbrew temu artylerzyście, który twierdził, że zdaleka lepiej widać pole walki aniżeli zbliska, ci dwaj utrzymywali, że z odległości mają bardzo niewyraźny obraz pozycij walczących wojsk i lepiej widzieliby zbliska aniżeli zdaleka.

Major Horvat zauważył, że nawet z odległości powinno się kierować pociskami z subtelną dokładnością.

Lekki ruch na linii bojowej nie pozwolił dłużej rozprawić na ten temat przedstawicielom artylerji, którzy też zniknęli bez śladu.

Tego i następnego dnia artylerja rosyjska ostrzeliwała austriacką bez większego skutku.

Wieczorem 22 października, spełniając rozkaz dowództwa, opuściliśmy linię i udaliśmy się do Peklikowiec.

Nasze szanice zajęli honwedzi, którzy w takich razach pod wpływem nerwów strzelali byle jak i byle gdzie, żywiąc nadzieję, że nieprzyjaciel, przestraszony łoskotem, nie zechce zaatakować szlachetnych synów Arpada!

ZAKOŃCZENIE.

Na tem kończymy nasze opowiadanie o wypadkach roku 1914 i 1915, w których brał udział nasz pułk, będący wówczas 57 austriackim pułkiem piechoty.

Chociaż wojna światowa zastała naszą Ojczyznę rozdartą na trzy części, chociaż naród nasz pozostawał w srogię niewoli państw zaborczych i zmuszony był bezpośrednio do walki dla obcej sprawy i dla obcych celów, nie mających nic wspólnego z naszymi celami narodowymi, to jednak stwierdziliśmy wobec świata całego naszą war-

tość militarną, udowodniliśmy, że naród polski zachował swoją rycerską tradycję, nie zatracił jej ducha w długiej niewoli... i pozostał jak niegdyś, waleczny, silny i obowiązkowy!

Tam, gdzie strach przemożny opanowywał żołnierzy obcych narodowości, którzy uciekli, unikając ulewy pocisków nieprzyjacielskich, pułk nasz mężnie stawał i dotrzymywał miejsca. Trwał on częstokroć w największym ogniu dział artylerji austriackiej, nieodróżniającej prawie nigdy swych pozycyji od stanowisk nieprzyjacielskich. Trwaliśmy w takich potrzebach niewzruszeni i niezachwiani, chociaż śmierć zbierała obfite żniwo; gdy zaś przyszło zdobywać oszańcowane stanowiska lub forty, pułk nasz szedł na nie w pierwszy ogień jak wichra, jak burza, przysparzając chwały imieniu polskiemu!

Wojna światowa rozgrywała się na wschodnim froncie wyłącznie na ziemiach polskich, które celowo niszczyła. Rozsypywały się w gruzy i szły z dymem pożarów polskie miasta, miasteczka i sioła; gdzie wojna dotknęła krwawą stopą ziemi naszej, wlokły się wślad za nią nieszczęścia, cierpienia i ofiary, które miały wyczerpać nasz naród, zniszczyć i wreszcie bez śladu zetrzeć z powierzchni ziemi!

Polacy, jako poddani trzech państw zaborczych, zmagających się wzajemnie o honory, wpływy i znaczenie monarchów, poprzebierani w obce mundury, musieli walczyć pomiędzy sobą. Polak z pod austriackiego lub pruskiego znaku zatapiał na polu bitwy zimne ostrze bagnetu w serce Polaka z pod zaboru rosyjskiego. Szatani inscenizowali bratobójczą rzeź, by naród, przeznaczony na zagładę, sam się wyniszczył!

I płynęła krew polska, płynęła obficie całemi strumieniami, a nasza nieszczęsna ziemia była przepojona krwią serdeczną synów, których wrogowie wydziedziczyli z Ojczyzny i — jak się wtedy zdawało, że już na zawsze, na wieki!

Austrja i Niemcy skazały żywiol słowiański, a w pierwszym rządzie naród polski — na zagładę; z początku były pewne, że zdołają nas wytępić, że ziemia nasza stanie się ich łupem, skąd teutońskie plemię, wiecznie niesyte, będzie wyciągało dalej na wschód swe drapieżne szpony po nowe zdobycze.

Gdy wojska zwaśnionych potentatów, szafując hojnie krwią polską, zmagaly się na wschodnim froncie, gdy krwawa łuna pożarów niosła w niebo obraz niedoli naszego narodu — wówczas Węgry i Niemcy, ci austrjacy i ci z Rzeszy, rabowali doszczętnie kraj cały; zabierali ostatni kęs chleba, dobytek i narzędzia gospodarcze, maszyny z fabryk, wyroby fabryczne i surowce, wycinali w pień lasy i wywozili drzewo, aby zniszczony kraj nie miał go na odbudowanie ludzkich schronisk; ba, nawet ziemię urodzajną zeszkrobowali i wywozili do swej oczyzny, nawet dzwony kościelne zrabowali i wywieźli — Polsce zostawili tylko głód, nędzę i łzy, zgliszcza i popioły!

Ale przecież zostawał lud, ten, który ziemię tę umiłowal; więc i lud pozostały postanowili wyniszczyć, wytępić bez miłosierdzia! Poczęto wieszać — i w tem barbarzyńskim dziele Austrja zdobyła rekord światowy: jej rząd i arcyksiążę Fryderyk, głównodowodzący armją austrjacką, kat, „wieszatkiel“ wślawił się wraz z całym szeregiem nikczemnych pomocników zwierzęcą dzikością. Ku niezmytej swojej i swego rodu hańbie, wywieszał w początkowym okresie tej wojny na obszarach ziem polskich ni mniej, ni więcej, tylko 90.000 niewinnych ludzi.

Ale wszystkie obliczenia państw centralnych zawiodły. Katowskie rzemiosło Habsburgów, Hohenzollernów i ich pomocników zdołało tylko wywołać niezatarty ból i rozpacz bezmierną w sercach ludzkich — wycisnąć palące łzy bezdenne żalu z ocz wdów i osieroconych przed czasem dzieci, które patrzyły na to, jak ich mężowie i ojcowie ginęli na austrjackich szubienicach! Jednak lud został

tam, gdzie był, z tą tylko różnicą, że w Austrii, z którą się był oswoił przez lat 146—zaczął widzieć śmiertelnego wroga, jakim ona była istotnie; zaczął nienawidzić i pragnąć z serca, by Wszechmoc Boża zmiotła ją wraz z panującym domem z widowni świata!

Gdy ofensywa gorlicka mimo huraganowego ognia działowego nie tylko nie zrobiła żadnego wrażenia na państwach koalicyjnych, ale skłoniła Włochy do opowiedzenia się po stronie ententy — w Wiedniu i w Berlinie postanowiono przestraszyć przeciwników... barbarzyńską bezwzględnością, licząc na to, że te metody zmuszą przeciwników do zawarcia pokoju!

W tym celu zastosowano w walce takie metody i takie środki techniczne, których użycia wstydziliby się dzicy Papuasi!

Generał Mackensen i inni wydawali rozkazy, które zabraniały brać do niewoli nieprzyjaciół — a jeżeli zdarzyło się, że austriackie, niemieckie lub węgierskie wojska zagarnęły jaki oddział rosyjski — po rozbrojeniu go, zakłóvano bezbronnych bagnietami! Nasz pułk nie zhańbił się nigdy wykonaniem takiego zbrodniczego rozkazu!

Na zachodnim teatrze wojny niszczone podobnie jak Polskę — północną Francję i Belgię i tam, tak samo jak w Polsce znęcano się nad ludnością z wyrafinowanym okrucieństwem, zabierano ją do niewoli jak niewolników, odbierając swobodę i godność ludzką, oddzielano matki od dzieci, ojców od ich rodzin, zaprzęgano do najniższych robót, katoowano i głodzono, zmuszając wśród najsroźszych katuszy moralnych i fizycznych do pracy zniszczenia Ojczyzny!

Na polach walki znowu wprowadzono w użycie takie środki techniczne, które mogły służyć nie do pokonania przeciwnika, lecz chyba do zamęczania jednostek. Wojska państw centralnych posługiwały się palącymi płynami — miotacze ognia były w użyciu przy każdym niemal ataku i poszczególni żołnierze rosyjscy, francuscy, belgijscy lub

serbscy, których obryzgało tym płynem, zamieniali się w żywe pochodnie, przechodząc—zanim dobroczynna śmierć nie wyzwoliła ich z tych męczarni—na ziemi cierpienia piekła!

Zastosowano gazy trujące; Niemcy truli zastępy swoich przeciwników i byli pewni, że już teraz pokój nastąpi niezawodnie.

Koalicja się jednak nie przerażała ku utrapieniu Habsburgów i Hohenzollernów. Wojska koalicyjne zaczęły strzelać z ręcznej broni i z dział kulami, które miały tę samą własność co miotacze ognia austro-niemieckie z tą tylko różnicą, że działały na dalszą odległość! Niemcy zaczęli sami odczuwać skutki swego barbarzyństwa; zamieniali się w żywe pochodnie, płonęli i umierali.

Gazy trujące zastosowano zaraz w wojskach koalicyjnych. Ginęli więc Niemcy od trucizny tak samo, jak ginąć kazali swoim przeciwnikom.

Położenie Austro-Węgier i Niemiec stawało się coraz rozpaczliwsze i niepewne. Wzmianki o pokoju nie skutkowały; nikt ich nie słuchał, nikt nie chciał z nich korzystać. Armje koalicyjne walczyły nieustępliwie i bohatercko, na śmierć i życie; barbarzyństwa państw centralnych nie robiły żadnego wrażenia. Patryoci rosyjscy starali się unicestwić zakulisowe machinacje swego dworu i starali się stworzyć jakąś przeciwwagę—jednym słowem szczęśliwa gwiazda państw centralnych zaczynała blednąć.

Austria i Niemcy wszczęły wojnę i nie mogły jej skończyć, chociaż tego koniecznie pragnęły. W tym celu wyczerpywały wszelkie dotychczas użyte środki ale bezskutecznie! Kapitulować, poddać się koalicji, znaczyło tyle, co zburzyć trony Habsburgów i Hohenzollernów, którzy nie chcieli do tego dopuścić.

W tym stanie rzeczy pocieszali się, że mają w ręku jeszcze trzy karty, trzy atuty.

Socjaliści niemieccy wmawiali w „towarzyszy“ innych

narodowości, że nie powinni pozwolić swoim rządóm i narodom na prowadzenie wojny, bo to sprzeciwia się zasadom socjalistycznym; że powinni temu przeszkodzić, porzucając pracę. Sami jednak uchwalali zgodnie z życzeniami rządu niemieckiego kredyty na prowadzenie wojny, wspierali akcję wojenną, zachęcali sfery robotnicze do jaknajintensywniejszej pracy dla celów wojennych, do wytrwania i znoszenia wszelkich braków i niedostatków. Socjaliści niemieccy mieli dwie zasady — jedną dla siebie, drugą, wręcz przeciwną, dla innych; ale właśnie dlatego „towarzysze” koalicyjni nie słuchali przewrotnych, nieszczerých Niemców.

Rządy państw centralnych postanowiły jednak użyć tych socjalistów do zadzierzgnięcia rokowań pokojowych. Socjaliści niemieccy z własnej niby inicjatywy wystąpili bombastycznie z propozycją urządzenia konferencji pokojowej w Sztokholmie!

I pojechali „towarzysze” z Niemiec i Austro-Węgier, a gdy znaleźli się w Sztokholmie — mieli sposobność nagadania się ze sobą do syta, bo „towarzysze” koalicyjni nie wzięli udziału w tym zjeździe. Pierwsza karta, rzucona na stół, zawiodła!

Wówczas dwaj monarchowie i wierni przyjaciele: Franciszek Józef I i Wilhelm II, ogłosili manifest o niepodległości Polski i przyszłym stanowisku Galicji.

Coś bardziej zabawnego, jak ten akt, niby polityczny, trudno było sobie wyobrazić!!! Był on istotnie rozbrajająco naiwny a dla narodu polskiego obrażający o tyle, że był obliczony na jego bezdenną naiwność. Wydano go jedynie w tym celu, aby naród polski, oszołomiony widokiem bańki mydlanej, zerwał się jak jeden mąż do walki z Rosją i koalicją, po których pokonaniu czekała go najsroźsza niewola! Druga karta, na stół rzucona, zawiodła także! Naród polski rozumiał podstęp odwiecznych swych wrogów — zresztą nie myślał łączyć się z trupem. Sympatje Polaków i nadzieje odzyskania rozdartej i zjednoczonej Oj-

czynny z dostępem do morza były na przeciwnej stronie linii bojowej.

Państwa centralne rzuciły kartę trzecią i ostatnią — łodzie podwodne.

Z wielkim krzykiem i hałasem niemieccy i austriaccy ministrowie i generałowie zapowiedzieli zniszczenie Anglii, Francji i Włoch; wygłodzenie tych państw i zniszczenie ich floty, która dowoziła środki żywności, broń lub amunicję!

W myśl tej zapowiedzi zaczęli zatapiać wszystkie okręty, jakie się tylko zjawily na obszarach morskich, blokowanych przez Niemców; pragnąc przerazić świat cały, zatapiali nietylko nieprzyjacielskie okręty pasażerskie, ale i państw neutralnych.

Tem nowem barbarzyństwem oburzyli przeciw sobie cały świat cywilizowany i zniewolili Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i inne państwa amerykańskie do wypowiedzenia im wojny!

Trzecia karta, rzucona w tej grze, również zawiodła!

Na sposoby są sposoby: łodzie podwodne niedługo mogły prowadzić rozbójniczy swój proceder, koalicja ze swej strony uzbroiła okręty w aparaty, wytwarzające sztuczne mgły i w przyrządy, sygnalizujące obecność łodzi podwodnych na znaczną odległość; zanim też każda taka łódź korsarska spostrzegła okręt koalicyjny — szła na dno.

Po kilku takich niemiłych doświadczeniach—niemiecka flotylla łodzi podwodnych ukryła się w portach poza kadłubami statków wojennych, które tam pozostawały prawie przez cały czas wojny światowej. Dwukrotnie wprawdzie próbowała marynarka niemiecka szczęścia na morzu, ale za każdym razem musiała wrócić do portu porządnie uszkodzona i to tak, że musiała się raz na zawsze wyrzec zamiaru zniszczenia flot nieprzyjacielskich!

Gdy i ta trzecia karta, rzucona w tej szalonej grze, nie

zdołała sprowadzić doraźnie pokoju — losy Austro-Węgier i Niemiec były już zdecydowane!

Państwa centralne, lub raczej ich władcy i mężowie stanu, szukały już odtąd tylko środków, służących do odroczenia katastrofy z miesiąca na miesiąc, potem z tygodnia na tydzień i w końcu już tylko z dnia na dzień!

Środkami temi były dla nich intrygi dyplomatyczne. Zapomocą intryg zdołali wstrzymać ofensywę rosyjską generała Brusilowa, który przełamał był pod Łuckiem front austro-niemiecki — i zapomocą intrygi skłonili przez carycę Alicję cara Mikołaja II do zgodzenia się na haniebną pokój, którym Rosja miała odstąpić Niemcom i Austrii znaczną część Polski i przyznać państwom centralnym, prócz odszkodowania wojennego, rozliczne koncesje gospodarcze i finansowe, oczywiście zabójcze dla Rosji.

Car wybrał się do Bukaresztu celem podpisania odrębnego pokoju, ale w drodze przytrzymali go patrioci rosyjscy, nie dopuścili do zawarcia układu i zmusili do złożenia korony.

Rosja stała się republiką! W pierwszej chwili zdawało się, że naród, wyzwolony po wiekach z carskiej niewoli, odetchnie i skupi się celem obrony swojej Ojczyzny przeciwko teutońskiemu niebezpieczeństwu, ale, niestety, lud rosyjski, ciemny i nieświadomiony, nie rozumiejący nawet znaczenia słowa „ojczyzna“, nie umiał znaleźć właściwej dla siebie drogi.

Władza rządowa przeszła w ręce demagoga, adwokata Kiereńskiego i jego towarzyszy partyjnych. Kiereński, jakkolwiek gorący patriota rosyjski, tak urządził Rosję i jej stosunki, że wkrótce rozluźnił wszystkie węzły, a rozluźniwszy karność armji rosyjskiej — zrujnował swą ojczyznę!

Austria i Niemcy, widząc ten obrót rzeczy, skorzystały ze sposobności, by Rosję zniszczyć zupełnie. Wysłały tam agentów swoich — Uljanowa, który wystąpił pod nazwi-

skiem Lenina i Bornsteina, występującego pod przybranen nazwiskiem Trockiego.

Ci, dobrawszy sobie innych pomocników, rzucili hasła, głoszące zaprzestanie walki, albowiem rozlew krwi ludzkiej był im niby wstrętny!

Pod tem hasłem zagarnęli władzę w swe ręce i, przeprowadziwszy socjalizację ziemi i wszelkiej własności, skazali naród rosyjski na śmierć głodową. Inaczej być nie mogło — wszystko się stało wspólną własnością wszystkich, wskutek czego i użytkowanie musiało zaniknąć zupełnie. Weźmy dla przykładu narzędzia rolnicze, które w Rosji stały się wedle prawa także własnością wszystkich. Gdy więc np. podzielili młocarnię na części, dając jednemu koło, drugiemu korbę, trzeciemu parę wytrząsaczy i t. d. to tem samem młocarnia przestała być młocarnią. I tak się też stało ze wszystkim.

W ten sposób podzielili także maszyny fabryczne, pozostawiając tysiące robotników bez chleba, co, oczywiście, musiało wywołać anarchję napady, rabunki i morderstwa — jednym słowem cała Rosja stała się jakby jednym domem warjatów, w którym nikt nie wie, czego chce i nikt nie zdaje sobie sprawy, w jaką toczy się przepaść — nikt prócz tych, którzy ten stan wywołali i podtrzymują go wedle życzenia Niemiec!

Przeciw tej anarchji powstają tu i owdzie protesty, które rząd bolszewicki zatapia w krwi ludzkiej, jakkolwiek przyszedł do władzy pod hasłem zaprzestania jej rozlewul

I stało się, że ów Lenin-Uljanow i Trocki-Bornstein w ciągu jednego roku zgładzili więcej ludzi ze świata aniżeli wszyscy carowie samodzierzcy, nie wyłączając Iwana Groźnego.

Zamieszki rosyjskie nie pomogły jednak Austro-Węgrom, ani Niemcom. Nie pomogło im także zawarcie pokoju w Brześciu Litewskim z Rosją i w Bukareszcie z Rumunją — klęska zbliżała się wielkim krokiem! Za-

chwiał się niemiecki front zachodni. Francuzi przełamali front bałkański, zatrzeszczały i runęły krwią zbryzgane trony Habsburgów i Hohenzollernów; dwa rody, żłopiące przez wieki krew ludzką jak wampiry, padły ze szczytu honorów monarszych w proch poniżenia i ludzkiej pogardy!

Austrja rozleciała się w drzazgi a powstała Polska.

Ale Habsburgowie i Hohenzollernowie, najzacieklejsi wrogowie naszego narodu, upadając, jeszcze chcieli zostawić nam w spuściznie taki zaród śmierci, byśmy zginęli i aby Ojczyzna nasza przepadła na wieki!

Uzbroili przeciw nam Rusinów galicyjskich i nakłanili ich do wszczęcia wojny; uzbroili rosyjskich bolszewików, skłaniając ich, by na nas napadli od północnego wschodu — nakłaniają zbolszewizowanych Węgrów, by nas zaatakowali od południa. Niemcy zbroją się przeciw nam i przygotowują do ataku od zachodu! W dobranem tem towarzystwie znajdują się także i Czesi, którzy wszczęli z nami wojnę, chcąc zagarnąć Śląsk Polski, Spisz i Orawę, a nadto Niemcy i rosyjscy bolszewicy usiłują przez swych agitatorów przeszczepić bolszewizm do Polski odrodzonej, by tak ją zrujnować i tak we krwi zatopić, jak to już uczynili z Rosją!

Czy osiągną zamierzone cele? Na to możemy dać stanowczą odpowiedź: nigdy!

Nasz naród już za czasów Jana Kazimierza przeżywał podobnie groźne chwile. Wówczas staliśmy także otoczeni dokoła płomieniem wojny i mieliśmy także zdrajców i wrogów wewnętrznych. Polskę zniszczono podobnie jak teraz, Szwedzi ją zaleli, tępili lud, wsie i miasta puszczali z dymem, a jednak ta groźna fala rozprysła się u stóp góry Częstochowskiej, gdzie garstka rycerzy, ufająca Bogu i Najświętszej Pannie a Ojczyźnie poświęcona, broniła się i bohaterstwem swem zagrzała zwątpiałe serca, obudziła zapal w narodzie, który też dźwignął się i oswobodził Ojczyznę.

Dziś myśmy przecie silniejsi aniżeli wówczas—silniejsi dlatego, że wówczas było rycerstwo i lud, ale tylko rycerstwo, czyli szlachta, broniła granic Ojczyzny; dziś zaś mamy Polskę ludową; dziś wszyscy narówni bronimy i bronić będziemy naszej wolności, naszych swobód, naszej umiłowanej Ojczyzny!

Lud polski — to moc, to potęga, której nic na świecie nie może rozkruszyć lub złamać!

Nam, żołnierzom, w pierwszym rzędzie przypada zaszczyt bronięcia Rzeczypospolitej od najazdu wrogów; odzyskaliśmy własną Ojczyznę i zrujnować jej nie damy!

Gdy walczyliśmy pod obcemi i wrogimi nam znakami z chlubą dla imienia polskiego — to czyż dziś będą mniejsze kategorie naszej wartości militarnej, gdy idzie o własną naszą Ojczyznę?! Zaiste nie — raczej, gdy tego zajdzie potrzeba, spotęgujemy naszą odwagę, naszą determinację i gotowość poświęcenia!

Tym sposobem spełnimy nasz obowiązek. Ale spełnić go zdołamy tylko wtedy, gdy my, żołnierze, zrozumimy, że na nas w pierwszym rzędzie spoczywa odpowiedzialność przed Bogiem i przed historją świata i własnego narodu za całość, za szczęście i za pokój naszej Ojczyzny!

Pamiętać musimy o tem, że jakkolwiek jesteśmy wszyscy równi, wszyscy braćmi, bośmy synami jednej i tej samej ziemi, wszyscy obywatelami wspólnej nam Rzeczypospolitej polskiej — to jednak w armji musi być utrzymany porządek, ślepe posłuszeństwo dla przełożonych i zaufanie do ich kierownictwa.

Niech nam dyktuje skrupulatne wypełnianie rozkazów nie strach przed przełożonym — ale miłość Ojczyzny!

Przykład armji rosyjskiej wymownie świadczy o tem, że gdy w wojsku rozluźni się karność — to kraj stoczy się w otchłań anarchji.

Czyż Polska krwawy trud, jakiego się domaga od żołnierzy, pozostawi bez nagrody?!

I to nie — Walny Sejm w Warszawie uchwala reformę agrarną i nasza Rzeczpospolita nie będzie miała synów wydziedziczonych, którzyby musieli za morzem szukać pracy i chleba — będzie miała dość ziemi, aby obdarzyć nią tych, którzy ją umiłowali, którzy jej pragną i na niej chcą pracować, a przede wszystkim obdarzy nią tych, którzy dla tej Ojczyzny nie szczędzą trudów ofiarnych, by zapewnić jej niepodległość!

Dokoła naszych granic szaleje wojna, ale już dogasa płomień, który rozniecili Habsburgowie wraz z Hohenzollernami. Wojna nie potrwa długo — jeszcze jeden wysiłek a granice Polski, zakreślone na konferencji pokojowej, będą także ustalone — poczem nastaną czasy pokoju, zbożnej pracy i godnie zasłużonego spoczynku!

I kiedyś, gdy pszenne kłosa wyłocą nam pola, gdy w okna chat zajrzy promienne słońce szczęścia i pokoju, będziemy dumać, żeśmy tą ziemię obronili przed drapieżnością wrogów. W sercach zagości nam zadowolenie ze spełnionego wobec Ojczyzny obowiązku, zadowolenie, któremu będzie towarzyszyć błogosławieństwo Boże!

KONIEC.

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 11784

„Polski Wysiek

Pod redakcją Dr. W. Tokar
Celem wydawnictwa jest krótko
nie walc, stoczonych przez
obecnej wojny



1000174995

DOTYCHCZAS WYSZŁY Z DRUKU:

1. Próchnik A. Ppor. Obrona Lwowa od 1 do 22 listopada.
2. Dąbrowski M. Por. Żołnierz I-ej Brygady.
3. Wspomnienia wojenne.
4. Maćkowski Z. Kpt. Walki III/8 p. Legjonów.
5. Antoni Pański. Warszawska Legja Akademicka.

W PRZYGOTOWANIU ZNAJDUJĄ SIĘ NASTĘPUJĄCE TOMIKI:

1. Piskor T. Major Szt. Gen. Odsiecz Wilna.
2. Burhardt St. Ppuł. Szt. Gen. Walki 1 p. p. L. P. od Nidy do Styru.
3. Stachiewicz W. Kapt. Szt. Gen. Walki 5 p. p. L. P.
4. Koc A. Kapt. P. O. W. i jej udział w walce o niepodległość.
5. Zymierski M. Pułk. Kaniów i przejście II Brygady przez front.
6. Pawłowski Br. Por. Kampanja Besarabska.
7. Drojowski W. Por. Walki 6 p. p.
8. Januszajtis M. Pułk. Walki II Brygady w Karpatach.
9. Pomarański S. Kpt. 1 p. p. od Kielc do Łowczówka.
10. " " " Komunikaty Wojenne.

